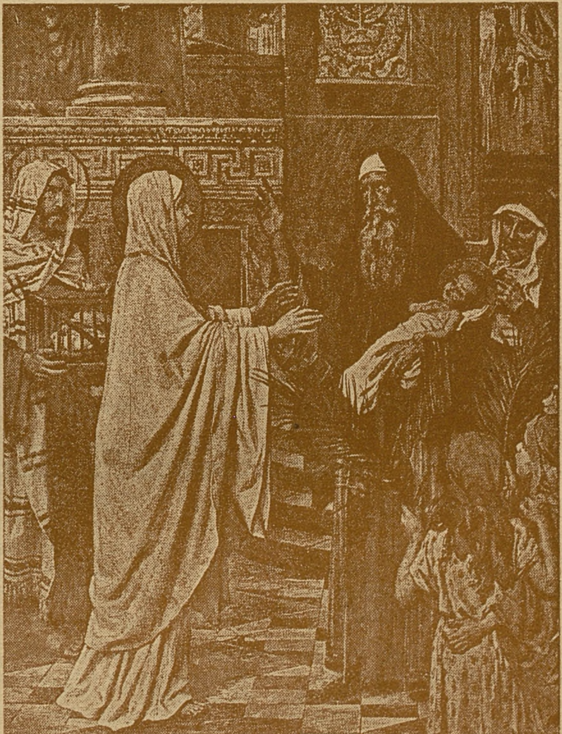
POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA



1952 — Nr 11

Na okładce:
OFIAROWANIE W ŚWIĄTYNI
Malował Jonsens

PRZECZYTAJ UWAŻNIE

Z DNIEM 1 STYCZNIA 1952 R. INDYWIDUALNĄ PRENUMERATĘ MIESIĘCZNIKA „POD OPIEKĄ SW. JÓZEFA" NALEŻY ZGŁASZAĆ I OPŁACAĆ U LISTONOSZY LUB W NAJBLIŻSZYM URZĘDZIE POCZTOWYM DO DNIA 15 POPRZEDNIEGO MIESIĄCA.

Niezapłacenie prenumeraty na czas powoduje automatycznie przerwę w dostawie pisma, dlatego w interesie P. T. Prenumeratorów leży, aby pamiętali, na jaki okres uiścili opłatę.

Cena pojedyńczego egz.: 1,50 zł. Prenumerata kwartalna 4,50 zł., półroczna 9 zł, roczna 18 zł.

REKLAMACJE NALEŻY KIEROWAĆ DO LISTONOSZY LUB URZĘDU POCZTOWEGO, W KTÓRYM PRENUMERATA ZOSTAŁA ZGŁOSZONA.

Pobierający miesięczniki do dalszej sprzedaży (tj. Komisanci) załatwiają sprawy związane z odbiorem pisma NADAL z Państwowym Przedsiębiorstwem Kolportażu „RUCH" Kraków, ul. Worcella 6.



POD OPIEKĄ ŚW. JÓZEFA

Nr 2 1952 Rok VII.

W BLASKU GROMNICY

Na mrocznych, ciemnych świata rozłogach
Zabłysło światło nowe — cud cudów!
Do dusz się wciska po twardych drogach,
Niesie blaski dla zbłąkanych ludów.

W blaskach świetlanych, złotych promieni,
Ślicznej Dziewicy postać urasta,
Co starła szarych powłokę cieni,
I węża głowę. — Mężna Niewiasta!

Ona przyniosła radość na ziemię!
Ona nam dała siłę w pokusach!
W Niej Bożych obietnic spełnienie!
Ona nam dała światło — Jezusa!

Gromnicą w ręku uśmierza burze,
Te, co w ziemię i co w serce walą,
Zbłąkane dusze dźwiga ku górze,
Gdzie słowa prawdy światłem się palą.

O Matko! nieraz w duszy tak ciemno,
Szumią tam burze, padają gromy.
O Matko! w takich chwilach bądź ze mną!
Rozpal światło, weź serce w obronę!

I w onych chwilach walki przy zgonie
Czuwaj nade mną w gromnicy blaskach,
Odpędź złe myśli, podnosząc dłonie,
Tak jak wilki od chaty z obrazka!

Czesław B.

MIŁOŚNIK WOLI BOŻEJ

Gdyby mi przyszło wybrać najpiękniejszy z licznych tytułów zaszczytnych, jakimi chrześcijańska pobożność darzy św. Józefa, wybrałbym ów: Miłośnik woli Bożej. Tak, oczywiście, bez najmniejszego wahania. Miłośnik woli Bożej. To cały święty Józef. To dokładnie wyczerpujący przekrój Jego pełnej ukrytych skarbów zjednoczenia się z Bogiem, duszy. To złota nić Jego życia, zespalająca wszystkie Jego przywileje w arcydzieło boże, acz skromne dla śmiertelnych ócz, pełne nieśmiertelnych wartości dla oka wiary. Zresztą, i czymże byłyby nawet owe godności „Oblubieńca Bogarodzicy", „Żywiciela Syna Bożego", jeśliby na nie nie padały blaski umilowania ponad wszystko woli Bożej? Co najwyżej, stałyby się martwym mitem, zamarłym posągiem, któremu brak rumieńców życia, brak ożywiającej duszy, brak kochającego serca...

A przecież św. Patriarcha z Nazaretu stał się tak bliskim Bogu, że został niejako wciągnięty, w szczególniejszy sposób, w tajemnice, w samo życie Trójcy Przenajświętszej — stając się „cieniem Boga-Ojca dla Chrystusa na ziemi"; stał się i dla nas zawsze żywym, aktualnym świętym, a przy tym serdecznym powiernikiem naszych tajemnic, że znak to oczywisty, iż blaski umiłowania woli Bożej rozświetlają Jego życie, nadają mu znamię boskiego piękna i mocy niezniszczalnej trwałości. „Bo świat przemija... lecz ten, kto pełni wolę Bożą, trwa na wieki" (I Jan, 2, 17).

Oto garść wspomnież z życia Świętego, świadczących, że był doskonałym miłośnikiem woli Bożej. Że w pełnieniu jej znajdował trwały pokój serca.

* * *

„Gdy była poślubiona matka jego Maryja Józefowi, pierwej niźli się zeszli, znaleziona jest w żywocie mająca z Ducha Świętego. A Józef, mąż jej będąc sprawiedliwym, i nie chcąc jej osławiać, chciał ją potajemnie opuścić" (Mat. 1, 18—19).

Może trudno nam się domyśleć, że w tych prostych słowach, Ewangelia wypowiada cały ogrom bolesnego bólu o iście dramatycznym napięciu i wewnętrznych zmagań, jakie św. Józef, już prawowierny małżonek Niepokalanej Dziewicy Maryi, przeżył w on czas. W każdym razie była to jedna z najboleśniejszych prób, jakie Opatrzność dopuściła na Świętego. Jedna z najboleśniejszych, bo godziła wprost w samo serce Świętego, w Jego czystą miłość ku Przeczystej Oblubienicy. Wszak miłował Maryję, wyczuwał niejako intuicyjnie Jej doskonałą świętość,

a tu na raz dzieje się coś, czego Józef, w żaden ludzki sposób, nie może pojąć. Maryja „znaleziona jest w żywocie mająca...“ A więc pozostało świętemu — stosownie do nakazów Prawa Zakonu — donieść kompetentnej władzy „o tym fakcie“, albo pójść za pociągiem swego serca, nieprzepartej miłości i uwielbienia ku swej Oblubienicy i sprzeniewierzyć się Zakonowi i tym samym woli Najwyższego...

Iście nadludzka walka dla miłującego serca. Miłującego Niepokalaną Dziewicę i miłującego Zakon Pański.

A wynik jej? Godny, zaiste, „męża sprawiedliwego“ i miłośnika woli Pana. Józef, przeczuwając bez wątpienia, że zaszło coś tu tajemniczego, nie zrozumiałego, wobec niezaprzeczalnej świętości i niewinności Maryi, postanawia uczynić ofiarę Bogu z miłości swego serca ku małżonce, Maryi... „Chciał ją potajemnie opuścić“.

Wiemy i pamiętamy z Ewangelii, że końcowym epilogiem owego dramatu, było objawienie św. Józefowi tajemnicy Wcielenia Syna Bożego; wiemy; że istotnie Opatrzność nie opuszcza swych dzieci nawet w najcięższych utrapieniach. Ale i również w blaskach tejże Opatrzności naocznie przekonywujemy się, że św. Patriarcha, to ów **„błogosławiony mąż, który nie chodził za radą niezbożnych... ale w Zakonie Pańskim wola jego i nad zakonem Jego rozmyśla we dnie i w nocy“** (Ps. 1, 1—2).

To błogosławiony, mąż, który wybiera zawsze to, co milsze woli Pana.

Drugi etap wierności dla woli Bożej u św. Józefa, to Jego uległość dla nakazów bożych, przekazanych mu przez namiestników, posłańców Boga.

„Oto Anioł Pański — opowiada Ewangelia — **ukazał się we śnie Józefowi, mówiąc: Wstaj, a weźmij dziecię i matkę jego, a uchodź do Egiptu i bądź tam, aż ci powiem; albowiem Herod szukać będzie dziecięcia, aby je zatracić“** (Mat. 1, 13).

Czy „Obrońcy Chrystusa“ nie cisnęły się wówczas do głowy owe pokusy: „Więc to ma być Syn Najwyższego, to oto Dziecię, a teraz mam Je chronić i uciekać z Nim w obce kraje, — w nieznane??? — To ma być niby „poślubna podróż“?

Zapewne, znów, niemała to była próba wiary „sprawiedliwego męża“, uwieńczona ponowną wiernością woli Pana: **„który wstawszy, wziął dziecię i matkę jego w nocy i uszedł do Egiptu“** (Mat. 1, 14).

A cóż dopiero powiedzieć mamy o umiłowaniu przez św. Józefa woli Bożej, przejawiającej się dlań w wypadkach, zdarzeniach, okolicznościach, od nas niezależnych, a dla nas dotkliwie przykrych.

Choćby, dajmy na to, okoliczności przyjścia na świat Boga-Człowieka. Na cóż — my po ludzku rozumując, powiedzielibyśmy — ów

spis ludności właśnie wtedy? Na cóż stąd owa konieczność podróży z rodzinnego gniazda Galilei, aż gdzieś hen, do Judei, i to właśnie, kiedy Maryja wyczekuje narodzenia Jezusa? Po co owa konieczność natłoku ludzi i ta ostateczna: przyjście Jezusa na świat w stajni...?

Św. Józef pozbawiony jest wszelkich możliwości, aby nawet prymitywnym koniecznościom swej małżonki i Dziecięcia zaradzić.

A przecież ani śladu niezadowolenia u świętego Józefa, Ewangelia nam nie zdradza. Przeciwnie, i tym razem cichą, ufną uległość wyrokom Opatrzności. Widocznie, Święty nie rozróżniał „zdarzeń" od samej woli Bożej. A woli Bożej od samego Boga. Wola Boża w tych lub owych zdarzeniach — myślał w zadumie święty — to też miłościwy Bóg, choć, częstokroć, nawiedza nas „incognito".

Dla całości obrazu, wypadało by dodać jeszcze o wierności świętego Józefa woli Bożej, przejawiącej się za pośrednictwem cichych natchnień, w głębi duszy.

W planach Opatrzności, skromny cieśla z Nazaretu, ma zostać przybranym ojcem Syna Bożego. Ma osłaniać swym autorytetem, prawdziwego męża i prawego ojca, cudowne, dziewicze poczęcie Chrystusa. Aby odpowiedzieć owym zamiarom i planom Boga, cichymi natchnieniami Duch Święty przynagla, zachęca Józefa do poświęcenia swej czystej duszy i dziewiczego ciała Bogu — do życia w czystości. I Józef, mimo że dumą każdego niemal Izraelity było ojcowstwo, mimo że nie ma przed oczyma wzoru, On postanawia zdecydowanie żyć w doskonałej czystości.

Staje się powolny natchnieniom Pana. Staje się tym samym, dzięki uległości, narzędziem w Tajemnicy Wcielenia.

* * *

Kiedyś, w urządzonej, z religii, ankiecie między dziećmi (od 9 do 11 roku życia), umieszczono pytanie: „Czego najwięcej pragnę w moim życiu?" Jedna z odpowiedzi była: „Moim najgorętszym pragnieniem jest ulec woli Bożej". (Może grała — w podobnej odpowiedzi rolę podświadomość, a raczej może szczególniejszy wpływ Ducha Świętego na duszę i przyszłe losy dziecka. Wszak takich „wypadków" jest o wiele więcej, aniżeli przypuszczać śmiemy). W każdym razie, spotykamy się z nowym oryginalnym wysłowieniem: „ulec woli Bożej"...

Znamy wyrażenia: „ulec czarowi piękna", „ulec czarowi dobroci", ale „ulec woli Bożej" — z tym nie bardzo byśmy się zgodzili...

A nie godzimy się tak długo, dopóki na wolę Bożą będziemy patrzeć zbyt po ludzku, okiem naszym, a nie b o ż y m. Stąd nasza rezerwa odnośnie woli Bożej.

Święty Józef — miłośnik woli Bożej — właśnie doskonale nam ową zagadkę rozwiązuje. On, istotnie „uległ czarowi woli Boga". On, w swym życiu, w najmniejszym szczególe odkrywał wolę Pana i tam, gdzie świadom był tej woli Pana, przyjmował ją, wychodził na jej spotkanie, jak my wychodzimy i witamy oczekiwanego zacnego gościa — przyjaciela. Święty, w woli Bożej witał zawsze tego Boga, który jest Miłością — samą Miłością — i dlatego jako Miłość, z natury swej nie może chcieć czegoś innego dla Siebie i dla Swych stworzeń, jak jedynie dobra. A ulec czarowi dobroci, to już tak naturalne i zrozumiałe! Stąd, nic dziwnego, że wolę Bożą św. Józef przyjmował z miłosną gotowością, z pogodą serca: spoglądał na nią w blaskach wiary.

W tym naświetleniu rozumiemy, dlaczego z serca świętych wychodzą tego rodzaju wypowiedzi: „Przebyte cierpienia tak dalece ukształciły i ubogaciły mą duszę, że tu na ziemi nic jej nie mogło zasmucić" (Dzieje duszy r. II).

Święci — między nimi i św. Józef — cierpieli, cierpieli bardzo (bo bez tego dłuta cierpienia, nie zostaliby świętymi), ale gdy już osiągnęli pewien etap życia wewnętrznego, gdyż już uzgodnili i zjednoczyli swą wolę z wolą Bożą, — gorycz cierpienia przestała dla nich istnieć. Wówczas w najbardziej gorzkim kielichu umieją rozpoznać s m a k m i ł o ś c i O j c a ku nim. Dlatego całują w duchu ową miłościwą dłoń, która ten kielich podaje. Acz nieraz rozum nie pojmuje o co chodzi (wiemy zresztą, że i Maryja i Józef nie rozumieli faktu zgubienia Jezusa i słów, jakie do nich dwunastoletni Chrystus wyrzekł, (Łuk. 2, 50), jednakże w o l a, przeczuwa, i n t u i c j ą m i ł o ś c i i powtarza: „...uwierzyliśmy miłości, jaką Bóg ma ku nam" (I Jan, 4, 16).

Słowo „wola Boża" działa wówczas jak kojący balsam na rany. Tam gdzie inni powiedzieliby: „wszystko stracone i cała moja przyszłość", oni — święci — powiadali: „... tymczasem w duszy mojej panował głęboki pokój, bo szukałam jedynie spełnienia woli Bożej"[1]).

Bo „zaiste w s z y s t k o jest d o b r z e, skoro szukamy tylko spełnienia woli Bożej" (Dzieje duszy, r. VI).

O. Rudolf, k. b.

---

[1]) Słowa św. Teresy od Dzieciątka Jezus, wypowiedziane po odmowie Ojca świętego, Leona XIII, na wstąpienie Teresy do Karmelu w 15 roku życia.

PRZEBACZENIE

Usiłując nieraz w swym dążeniu pójścia za Chrystusem uczynić coś bardzo trudnego, chrześcijanin czasem zawodzi. Wówczas smutek jego jest większy, niż smutek poganina, bo jest wynikiem afrontu wyrządzonego miłowanemu Bogu. Smutek ten nie pochodzi ze świadomości pogwałconego prawa, lecz ze świadomości złamania więzi z boską Miłością. Jest jeszcze jeden element konieczny dla odrodzenia, element żalu i satysfakcji (odnowienia). Żal jest raczej czymś suchym. Łzy płyną w smutku, lecz pot wylewa się w żalu. Nie dość jest powiedzieć, że się żałuje i o wszystkim zapomnieć. Wybiwszy szybę sąsiadowi, nie tylko przepraszamy, lecz wprawiamy nową. Ponieważ każdy grzech zakłóca równowagę sprawiedliwości i miłości, przyjść musi wyrównanie zawierające trud i wysiłek.

Przypuśćmy, że po każdej krzywdzie kazano komuś wbić gwóźdź w ścianę, i że za każdym razem zapomniał on, że kazano mu gwóźdź wyciągnąć. Po wyjęciu gwoździa zostają ślady. Podobne ślady zostawia grzech po przebaczeniu, zostawia w naturze ludzkiej „rany", których usunięcie dokonuje się przez żal. Złodziej kradnący zegarek, może mieć darowaną karę, jeśli zegarek zwrócił. Różnica między darowaniem i naprawieniem jest wskazana w Piśmie św. Pan Bóg darował Mojżeszowi zwątpienie, lecz nałożył mu pokutę: „nie przejdziesz przez Jordan" — (Deut. III, 27). Dawid żałował za swe cudzołóstwo i Natan go rozgrzeszył: „Bóg odjął twój grzech, nim umrzesz" (II Król. XII, 13). Lecz Bóg zażądał zadośćuczynienia: „Dziecko, które ci się narodziło, umrze" — (II Król. XII, 14). To samo jest dziś: boskie przebaczenie w Sakramencie pokuty przywraca nas do przyjaźni z Bogiem, lecz dług wobec sprawiedliwości Bożej pozostaje. Pokuta doczesna za wiele grzechów jest z konieczności znaczna i wymaga znacznej samodyscypliny ze strony penitenta. Wiara w zasługi Chrystusa wyłącznie nie wystarczy do odpuszczenia win. Wiara bez pokuty jest zawsze niedostateczna. Pan Bóg nie chce traktować nas jak automaty. Protestanci oskarżają często katolicyzm o przypisywanie magicznych skutków sakramentom. Odpowiadamy, że to oni winni, przypisując magię Odkupieniu, gdy my twierdzimy, że nie ma magii ani w sakramentach, ani w Odkupieniu. Pan Bóg szanuje naszą wolę i nic nie czyni bez jej współdziałania. Jego działanie zależy od naszego współdziałania, tak jak działanie prądu elektrycznego zależy od żarówki. Spowiedź usuwa grzechy, lecz zanim nastąpi usunięcie wszelkich śladów, musi nastąpić doskonałe naprostowanie woli. Wolna wola stanowi sedno trudności.

Przypuśćmy, że sprzecza się dwóch ludzi i jeden drugiego uderzył. Później napastnik usprawiedliwiał się i tłumaczenie jego zostało przyjęte. Miałby to być koniec? A co z ręką uderzonego? Przyjęcie uspra-

wiedliwienia nie uleczyło jego ręki. Tak samo jest z nami. Przez grzech szkodzimy woli. Szkoda ta nie jest naprawiona dekretem przebaczenia. W grzechu zwracamy się czasem bardzo intensywnie ku stworzeniu. Dla naprawienia woli trzeba się równie intensywnie zwrócić do Boga. Wola, czyniąc zło, jest jak wytrącona ze stawu. Musi być naprawiona. Jeśli zwrócenie się do Boga jest równie intensywne lub intensywniejsze, niż intensywność w grzechu, spowiedź znosi zarówno winę, jak i karę. Jeśli zwrot do Boga ma intensywność mniejszą, choć dostateczną, wola pozostaje uszkodzona i do zupełnej naprawy trzeba będzie innych dobrych uczynków. Oto źródło surowych pokut w pierwotnym kościele. Pierwsi chrześcijanie nie wątpili w skuteczność Sakramentu pokuty, lecz w dostateczność swego żalu. Jest to również wyjaśnieniem akcentowania pokuty przez Chrystusa.

Odpuszczenie całości lub części kary za winy dokonuje się przez odpusty, przez które Kościół daje penitentom nowy start. Kościół dysponuje olbrzymim kapitałem duchowym zdobytym przez wieki pokuty i męczeństwa. Wiele jego dzieci modląc się i cierpiąc, wysłużyło więcej, niż trzeba było dla ich zbawienia. Kościół zabiera te „zbywające" zasługi do swego duchowego skarbca, z którego żałujący grzesznicy mogą czerpać w potrzebie duchowej. Można też przyrównać ten kapitał duchowy do banku krwi. Ilekroć ktoś cierpi na anemię duchową lub ma głębokie rany grzechu, Kościół przeprowadza transfuzję krwi. Nie można tego czynić umarłym na duszy (przez grzech); transfuzja trupowi nie pomoże. Podobnie dla uzyskania odpustu lub odpuszczenia kar za grzechy trzeba być w stanie łaski, mieć intencję zyskania odpustu i wypełnić przepisane warunki.

Grzesznik chętnie pokutuje: wie, że grzech kosztował Boga-Człowieka krzyż, musi więc kosztować coś i człowieka; człowiek nie chce otrząsnąć się tylko, lecz wynagrodzić za swe grzechy. W dawnych wiekach ludzie kontynuowali pokutę nawet po śmierci, fundując darowizny na szpitale, szkoły, kościoły w Imię Chrystusa.

Pokuta jest uznaniem, że się ma „przeszłość". Uznanie tego faktu nie jest chorobliwe. Chorobliwe jest raczej udawanie, że taka przeszłość nie istnieje. Przeszłość wpływa na przyszłość. Nie jesteśmy tylko tym, co zjadamy, lecz i tym, co zrobiły z nas grzechy. Nie naprawiając przeszłości, zwiększamy karę wieczną. Czas dany nam po to, abyśmy mogli pokutować. Prawdziwy miłośnik Boga, świadomy zranienia Miłości, tak się zachowa, aby się utożsamić z Chrystusem, noszącym ślady ran na rękach, stopach i w boku. Na ziemi więcej patrzymy na ból, niż na grzech, uważając ból za większe zło. Pokuta usuwa ten nieporządek. Znajdując radość w pokucie, człowiek wie, że nie ma większego zła, niż grzech. Bez miłości odczuwa się pokutę, jako zło. Gdy jest miłość, odczucia tego nie ma. Przyjmując pokutę, rozumie się, że egoizm, który wywołał grzech, czyni ofiarę konieczną, jako warunek ujarzmienia błędnych

impulsów, które wywołały kłopot. Gdy pełne światło miłości Chrystusa w duszy zaświeci, spełnia się nie tylko pokuty nałożone przez Kościół, lecz włącza się wszelkie nawiedzenia życia w wielkie dzieło Odkupienia. Zamiast skarg na próby losu, przyjmuje się je z poddaniem, jako słuszną cenę grzechu.

Istnieją trzy drogi pokuty: modlitwa, jałmużna i post. W modlitwie spraszamy miłosierdzie Boże. Przez jałmużnę zwracamy Bogu niektóre z darów od Niego otrzymanych, aby usprawiedliwić nasze posiadanie. „Odkup grzechy swe jałmużną“ (Dan. IV. 24). Przez post umartwiamy korzenie wszelkich potrzeb zmysłowych. Kto nie może umartwiać się w zakresie pożywienia, ma wiele sposobności w zakresie przyjemności towarzyskich itd.

Pokuta nie dokonuje się jednak w pojedynkę. Penitent jest wspierany przez innych w Mistycznym Ciele Chrystusa, gdzie wszyscy są jednym bo są rządzeni przez jedną Głowę, ożywieni jedną duszą i wyznający tę samą wiarę. Tak jak można transplantować skórę z jednego miejsca w drugie, lub dokonywać transfuzji krwi z jednego organizmu w drugi, tak można w duchowym organizmie Kościoła przeszczepiać modlitwę i ofiarę. W pełni swej prawda ta jest znana jako świętych obcowanie. Złączeni wzajemnie w winie, możemy być także złączeni we wzajemnej odnowie. Dlatego to polecamy się wzajemnie modlitwom, w „Modlitwie Pańskiej“ mówimy: Ojcze nasz. — Potrzebujemy się wzajemnie duchowo. „Oko nie może powiedzieć ręce: nie potrzebuję cię, ani głowa stopie: nie potrzebuję cię. Zaiste bardziej jeszcze ci, którzy wydają się słabymi członkami ciała, są potrzebniejsi“ (Kor. XII, 21). Niewiele jest większych pociech nad wiadomość, że jesteśmy członkami wielkiej społeczności modlitw. Świętych obcowanie jest wielkim odkryciem tych, którzy mają pełnię wiary. Odkrywają oni, że od lat były setki dusz szturmujących do nieba, aby mały akt pokory mógł otworzyć szparę w czyjejś zbroi dla wpuszczenia łaski prawdy i nawrócenia. Każdy ma wypisaną na sobie cenę, ponieważ wielu nie może lub nie chce jej zapłacić, inni muszą to uczynić. Nie ma pewnie innej drogi wyjaśnienia niektórych nawróceń, jak to, że na tym lub na drugim świecie orędujący u Boga rodzice lub przyjaciele zdobywają komuś światło prawdy.

A po co są zakony i klasztory? Dlaczego tylu młodych ludzi opuszcza blaski światła dla cienia krzyża? Świat tego nie rozumie i dziwi się, słysząc, że jakaś piękna panienka wstąpiła do klasztoru, młody człowiek dowiedziawszy się o tym, telefonuje do rodziców z zapytaniem: czy ona miała jaki zawód w miłości? Odpowiedź brzmi: „tak, w miłości świata. Zakochała się w Panu Bogu“. Odwracają słuszny gniew Boga, naprawiają bariery zepsute przez tych, co grzeszą i nie modlą się, buntują się, a nie pokutują. — Nie interesują się oni światem, mniej opuściwszy go, owszem jeszcze więcej się nim zajmują.

POZNAJ SAMEGO SIEBIE

I

Ksiądz Jan podniósł oczy znad brewiarza. Usta szeptały jeszcze słowa modlitwy: Fidelium animae per misericordiam Dei requiescant in pace. Amen. Duży znak krzyża, głębokie westchnienie ulgi, były nieomylnym dowodem zakończenia świętego oficjum; świętego mimo to niemniej twardego i ciężkiego, jak ciężkim jest grzech za jego opuszczenie. Nie wstał jednak z klęczek ks. Jan. Przecież musi pomodlić się jeszcze za swoje dzieci, czyli za swoich wychowanków, których dusze są jemu powierzone. Czoło swe oparł na drzewie krzyża, który zwisał nad klęcznikiem. Krzyż ten był symbolem jego kapłańskiego życia. Przyśnił mu się jeszcze za czasów kleryckich. Gdy przed święceniami w duszy młodego, pełnego siły i zdolności kleryka rozgorzała walka, gdy stanął wobec stanowczej alternatywy: albo kapłaństwo, czyli droga usłana ostrymi głazami i bolesnymi cierniami na „Golgotę“ samotności i opuszczenia, albo założenie ciepłego ogniska domowego z kochaną i oddaną kobietą — wtedy to zobaczył we śnie nagi, z grubsza ociosany, drewniany krzyż i usłyszał te słowa: „Ten sam krzyż, musi ci wystarczyć“.

— Sam krzyż... słowa te nie pierzchły ze snem. Co więcej, wbiły się w jego pamięć, wryły się w jego duszę, stały się niemal głosem sumienia.

I wybrał... sam krzyż.

Czy dobrze uczynił?

Codziennie po odmówieniu brewiarza kładł głowę na krzyżu. I dobrze się tak czuł. Była to chwila szczęścia, cichej kontemplacji; jego chwila, nie tylko jego — była to chwila Chrystusa i jego.

Chrystus! Czyż nie prawdziwe są jego słowa: „Kto chce zachować duszę swą, straci ją, a kto ją straci dla mnie, zyska ją. Słowo „dusza“ można transponować na słowo „szczęście“.

Piętnaście lat mija w służbie Ukrzyżowanego, piętnaście lat na posterunku kapłańskim, w służbie ideałów nadprzyrodzonych. Czy spełnił swoje zadanie?

Chryste! — modlił się, w głębi swej duszy ks. Jan. — Chryste, któryż z kapłanów sprawujących święte i niepojęte rozumem ludzkim misteria, któryż z szafarzy sakramentów i nieodłącznych od nich łask nadprzyrodzonych, może powiedzieć: — Wszystkom dobrze zrobił! Tak może powiedzieć tylko albo wielki święty, albo wielki zarozumialec.

Czyż raczej nie powinien kapłan na widok owoców swej duszpasterskiej pracy powtarzać słowa za Apostołem Narodów: Ja siałem, Apollo podlewał, a Bóg wzrost dawał.

Rola siewcy. Czy dobrym byłem siewcą — zapytuje się teraz ks. Jan — czy starannie oddzielałem ziarno słów Bożych od plew frazesów, morałów, patosu, a następnie czy dość pracy poświęciłem przygotowaniu gleby, czy za dużo nie pozostawiłem ścieżek i ugorów,

---

Dokończ. ze str. 40

Obok tych ludzi, reszta mało czyni dla pokuty za grzechy. Wielu ogląda się w zamyśleniu za jakąś łatwiejszą drogą, za jakąś religią, podnoszącą uczucie bez pokuty, za jakimś kultem podnoszącym, a nie wymagającym. Mając wiele namiętności do umartwienia, złych nawyków do naprawy, egoizmu do opanowania, ludzie chcą krzyża rozcieńczonego, szukają religii, która dawałaby blask, nie uderzając. W tym stadium pychy Kościół nic dać nie może, ale może coś zabrać — grzechy. I na początek jest to dar dostateczny.

Ks. Dr M. Rzeszewski.

czy dokładnie wyplewiłem chwasty i powyrzucałem kamienie?

Chryste! Dopełń tego, co mi brakuje... Piętnaście lat kapłaństwa — to piętnaście lat urzędu katechety w gimnazjum. Ukochał ks. Jan swoich uczniów, a oni jego. Poprzednik jego, kapłan o potężnej duszy, ale o chudym sercu, nie cieszył się przywiązaniem swych uczniów. Gdy oddawał swój urząd ks. Janowi ostrzegł młodego zapaleńca: Trudna i niewdzięczna praca. Zwariowana młodzież. Nic z niej nie będzie. Bez serca — konkludował żałośnie.

Ks. Jan nie napróżno powtarzał często jedną z zasad św. Jana od Krzyża: „Gdzie nie ma miłości, daj miłość, a zyskasz miłość".

Serce swe rozdzielił między młodzież, jak dobra matka powszedni chleb. I zyskał... wszystkie serca. Nie mógł narzekać ani na lenistwo, ani na niewdzięczność swoich wychowanków. Nie zawsze zdobywanie serca szło mu łatwo. Spotykał charaktery również twarde, oporne, niedowierzające. Gdy nie pomagała dobroć, zachęta — zostawała broń najpotężniejsza — modlitwa. Gdzie nie mógł człowiek — tam mógł Bóg.

Energiczne pukanie do drzwi wejściowych przerwało ks. Janowi medytację.

— Proszę.

— Pochwalony Jezus Chrystus!

— Na wieki wieków, Amen. Mimo woli na ustach ks. Jana zakwitł uśmiech, zresztą jak można zostać poważnym na widok czternastoletniego studenta, o jasnych, niesfornych włosach, które na kształt spienionej fali zawisły nad wysokim czołem, pod którym błyszczało dwoje dużych, czystych, niebieskich oczu. Okrągły owal twarzy dopełniał klasyczną głowę energicznego, śmiałego, entuzjasty i zapaleńca. To jeden z tych wielu uczni ks. Jana, którym lekcja religii nie wystarcza, którzy pragną bezpośredniej rady i kierownictwa ukochanego wychowawcy w pracy nad sobą do zdobycia kultury życia, w doskonaleniu się. Chętnie młodzież zwierza się ks. Janowi ze swoich trudności, zmagań, albo ze swoich zwycięstw i triumfów.

Ks. Jan ma specjalny dar rozumienia, wczucia się w psychikę młodzieży. Sam przy tym czuje się młodo. Sprawdza się na nim wypowiedź pewnego wybitnego myśliciela: „Jedynym lekarstwem na starość — to przebywanie z młodzieżą i ukochanie jej".

Tymczasem młody przybysz śmiało przystąpił do ks. Jana, chcąc ucałować go w rękę. Zamach się nie udał. Ks. Jan poprzestawał na mocnym uściśnięciu dłoni.

— Proszę ks. Katechety — zaczął rozmowę młodzieniec, równocześnie zajmując miejsce na fotelu wskazanym przez gospodarza domu, — przyszedłem, aby... jakby to powiedzieć — tu podrapał się dyskretnie za uchem, jednak bez zażenowania — w sprawie samowychowania.

— Jednym słowem pragniesz, abym ci pomógł i poradził w sztuce zwanej: s a m o w y c h o w a n i e.

— Tak jest. Przysłuchiwałem się dzisiaj z uwagą wykładowi ks. katechety o ostatecznym celu człowieka. Celem ostatecznym człowieka, twierdzi ks. Katecheta jest zjednoczenie z Bogiem przez bezpośrednie widzenie Bożej Istoty. Cel ten jednak, jako całkowicie nadprzyrodzony, czyli przekraczający zdolności, prawa i wymogi stworzenia, wymaga nadprzyrodzonych środków do jego osiągnięcia. Środkami tymi to łaska uświęcająca wraz z nadprzyrodzonymi cnotami i darami łaski uczynkowej.

— Świetnie to pojąłeś. Mówisz jak stary teolog — przerwał mu z zadowoleniem ks. Jan. Lekki uśmiech zjawił się na policzkach studenta. Ciągnął dalej:

— Nadnatura jednak w człowieku zespala się z naturą, a całe życie duchowe jest syntezą natury i nadnatury. Natura, chociaż sama za siebie nic nie może uczynić w dziedzinie nadprzyrodzonej, jednak jest w człowieku materialnym gruntem dla nadnatury. Czym doskonalszy jest grunt, tym głębiej wszczepia się w niego nadnatura. Naturę przeto trzeba oczyścić z wszelkich wad i niedoskonałości, z drugiej zaś strony należy wyrobić w sobie cnoty nabyte przyrodzone, do których by mogły cnoty nadprzyrodzone łatwiej przylgnąć. Zadaniem więc człowieka tu na

ziemi jest zdobyć życie nadprzyrodzone, które jest darem Boga, z drugiej strony przez wyrobienie w sobie mocnego i szlachetnego charakteru, czynić coraz doskonalszy grunt pod łaskę.

— Pragniesz zatem zostać młodzieńcem z charakterem, a nie wiesz jak się wziąć do tego?

— Najpierw trzeba podobno poznać samego siebie. Otóż pragnąłbym, aby ks. katecheta dopomógł mi w poznaniu samego siebie i wskazał środki do opanowania i udoskonalenia natury.

— Z radością ci pomogę. Będę ci zadawał pytania, a ty odpowiadaj. O której godzinie rano wstajesz z łóżka?

— Postanowiłem wstawać o godz. 6. Ale to trochę za wcześnie, tak, iż jeszcze pół godzinki przewracam się w łóżku z boku na bok.

— Powiedziałeś: postanowiłem; a jednak nie wykonujesz tego.

— Przez kilka dni po postanowieniu, wstawałem od razu, ale jestem jakoś tak...

— Jesteś przeto niestały. A czy do szkoły i na zebrania organizacyjne zwykłeś przychodzić punktualnie?

— Jak czasem — poprawił się niepewnie na fotelu młodzieniec.

— Drugi błąd: niepunktualność. Jak odrabiasz zadane lekcje?

— Z początku roku z radością chwytałem się książki. Nowość zachęca mnie do pracy. Z czasem jednak zapał ostyga, szczególnie w odniesieniu do przedmiotów, wymagających poważnych studiów, innymi słowy, długiego siedzenia. Dlatego wolę zajmować się czym innym.

— Na przykład?

— Zbierałem znaczki.

— Mówisz zbierałem: a teraz już nie zbierasz?

— Już nie. Wolałem zająć się sportem. Po tygodniu jednak ćwiczeń uznałem, że i tak atletą nie będę, przeto wziąłem się do francuskiego, jako do nadobowiązkowego przedmiotu. Ale to mi ciężko idzie. Zdaje mi się, że i tego wkrótce poniecham.

— Trzecia wada: słomiany zapał i bezplanowa praca. A porządek i czystość lubisz?

— Lubić lubię, tylko jak kto inny go zrobi. Ja sam koło siebie nawet porządku nie umiem utrzymać. Mama musi mi ciągle przypominać: oczyść buty, umyj ręce, wyczyść zęby, poukładaj książki na półce i tak w kółko.

— Wszystko to wskazuje na brak zamiłowania porządku. A zabawy lubisz?

— O co do tego, to przede wszystkim. Moim cichym pragnieniem choć nierealnym jest chęć urządzenia sobie całego życia jako jednej, nieprzerwanej zabawy, przyjemności, rozkoszy, abym nie musiał pracować, uczyć się, słuchać rodziców czy profesorów, jednym słowem, wolność, swoboda, a z drugiej strony, abym miał dużo czasu do spania, abym miał dobre rzeczy do jedzenia, ciekawe książki, miłe grono kolegów i koleżanek — to byłby raj na ziemi.

— Zamiłowanie do przyjemności — zawyrokował ks. Jan. — Czy cię koledzy lubią?

— Zdaje mi się, że tak. Wprawdzie od czasu do czasu poczubię się z którymś, ale wkrótce następuje między nami pokój. W każdym razie staram się raczej rozweselać kolegów, niż się z nimi kłócić. Gdy widzę, że w czasie dyskusji kolega unosi się zbytnio, choć nie ma racji, wolę wycofać się w milczeniu niż obracać dysputę na bezwładną szermierkę słowną.

— Mój drogi chłopcze — zaczął ks. Jan — jak z tego wszystkiego wynika, posiadasz temperament sangwinika. — Tu sięgnął ks. Jan po książkę na biurko.

— O. Jacek Woroniecki znany naukowiec i pedagog, na którego dzieła tyle razy na lekcji religii się powołuję, w książce pt. „Katolicka etyka wychowawcza", tak pisze o sangwiniku: „Źle wychowany staje się lekkomyślnym, utracjuszem, kłamcą, niesłownym, przede wszystkim próżnym i nieobliczalnym. Dobrze wychowany jest nadzwyczaj miłym człowiekiem, umiejącym pogodzić obowiązki z rozrywką, wprowadzającym wszędzie radość i pogodę, godzącym powaśnionych, utrzymującym jedność społeczną". A ty kochany młodzieńcze — tu zwrócił się ks. Jan bezpośrednio do ucznia — chciałbyś

być nie tylko człowiekiem dobrze wychowanym, ale i świętym. Przeto do pracy trzeba się wziąć z zapałem; tylko nie słomianym, i z energią. Przede wszystkim musisz się ćwiczyć w mocnej woli. Twój temperament skłonny jest do mnóstwa postanowień, stawia sobie wzniosłe idee, a kończy się to wszystko na... marzycielstwie. Takiej słabości musisz przeciwstawić moc czynu. Istnieje takie przysłowie: „najpierw rozważyć, potem odważyć się". Gdy nasunie ci się na myśl jakieś pragnienie, jakiś plan, nie idź za pierwszym odruchem twego serca czy wyobraźni, ale przed podjęciem się jakiegoś zamiaru zastanów się, czy warto podjąć się tego zadania. Jeśli raz się zgodziłeś na jakieś postanowienie, jeśli doszedłeś do wniosku, że jest ono dobre dla twojej duszy lub ciała, albo dla bliźniego, to choćby cię to wiele miało kosztować wysiłku i pracy, wyrzeczenia się, nie ustępuj ze zrealizowania postanowienia.

— Zupełną słuszność muszę przyznać ks. katechecie. Co kilka dni robię postanowienie, idę za pierwszym impulsem wyobraźni lub fantazji, a później się wycofuję z przedsięwziętego planu. Od czego więc mam zacząć pracę nad sobą?

— Zrób najpierw dokładny plan swojego dnia. Wyznacz godzinę wstawania, czas przeznaczony na porządek koło siebie i pokoju, w którym mieszkasz, czas na przygotowanie do lekcji przed szkołą i po szkole, czas na codzienną, choćby krótką zabawę, lekturę i inne wolne zajęcia. Nie zapominaj jednak, że najważniejszą rzeczą jest wierne i dokładne spełnianie swego obowiązku. Najwięcej czasu i pilności poświęć tym przedmiotom, których nie lubisz. Tu będzie najlepsza kuźnia dla przyszłego twego życia, w której wykonuje się wola odporna na wszystkie trudy i przeciwności. Codziennie, wieczorem po odmówieniu pacierza, przebiegnij myślą cały dzień i zastanów się, czy byłeś wierny planowi dnia. Zobaczysz, jaką uczujesz czystą i mocną radość w sercu swoim ze spełnionego obowiązku; uczujesz większe szczęście, niżbyś przepędził cały dzień na swawolnej i próżnej zabawie, po której zawsze uczuwa się nudę i niezadowolenie. Tu przeciwnie, radość jest mocna i trwała. Spokojne sumienie, zadowolenie z umianych lekcji, usłużność i życzliwość wobec rodzeństwa i kolegów — wpłyną dodatnio i decydująco na twoje samopoczucie. Wtedy też będziesz wesoły i dowcipny, jednak radość twoja będzie szczera i młoda jak kwiat wiśni. Każdy będzie garnął się do ciebie, aby zakosztować tej miłej woni uśmiechu. A ty będziesz zarażał radością i kolegów i przyjaciół i wszystkich ludzi, bo wszyscy są twoi bracia.

— Wszystko to bardzo pięknie wygląda w teorii — zaczął student z rozwagą. Ale czyż nie mogę powtórzyć za Owidiuszem: „Video meliora, proboque, deteriora sequor[1]), albo powiedzieć za Eurypidesem: „Znamy cnotę, a oddajemy się występkom". Człowiek jest tak bardzo słaby... zwiesił smutnie głowę. W milczeniu ks. Jan szukał jakiejś książki w szafce. Znalazł. Uważnie przewracał kartki. — Posłuchaj co mówi św. Augustyn w swoich wstrząsających „Wyznaniach": Rozkazuje dusza sobie, rozkazuje sobie chcieć, a jednak nie chce. Unde hoc monstrum? [2]) Rozkazuje, zatem chce; nie rozkazywałaby bowiem, gdyby nie chciała, a jednak rozkaz nie jest wypełniony. Niecała bowiem chce, niecała bowiem rozkazuje [3]).

Skąd zaczerpnąć przeto siły, aby cała wola chciała i rozkazywała dobre rzeczy?

— Posłuchaj, co mówi św. Paweł do Rzymian: „Nieszczęsny ja człowiek, kto mnie wybawi od ciała tej śmierci? Łaska Boża przez Jezusa Chrystusa Pana naszego". W modlitwie szczerej, bezpośredniej szukaj siły i mocy, a przede wszystkim przystępuj do Stołu Pańskiego i przyjmuj Chleb mocnych.

Przez okno wdzierał się wieczorny mrok. Na białej ścianie czernił się prosty, drewniany krzyż. Idąc w ślady za oczyma ks. Jana, wzrok młodzieńca zatrzymał się na... samym krzyżu.

M. K.

---

[1]) Widzę co lepsze, i uznaję, a podążam za gorszym. [2]) Skąd to dziwo? [3]) liber VIII, 9.

WYMOWA RUCHÓW

„Pewien faryzeusz zaprosił Jezusa na posiłek. I wszedłszy do domu faryzeusza zasiadł do stołu. A oto niewiasta, która była w mieście jawnogrzesznica, skoro się dowiedziała, że siedział przy stole w domu faryzeusza, przyniosła alabastrowe naczynie olejku, stanąwszy z tyłu u nóg jego, poczęła łzami zlewać stopy jego i wycierać włosami swej głowy. I całowała stopy i namaszczała olejkiem. A widząc to faryzeusz, który go zaprosił, myślał sobie w duszy: gdyby ten był prorokiem, wiedziałby zaiste, co zacz jest ta niewiasta, która się dotyka, że jest grzesznicą. I odpowiadając Jezus rzekł doń: Szymonie mam ci coś do powiedzenia. A on rzekł: Mistrzu powiedz! Pewien wierzyciel miał dwóch dłużników, jeden był mu winien pięćset denarów, a drugi pięćdziesiąt. I gdy nie mieli z czego oddać, darował obydwom. Któryż tedy bardziej go miłuje? A Szymon odpowiadając rzekł: sądzę, że ten, któremu więcej darował. Dobrześ osądził. I zwróciwszy się ku niewieście rzekł Szymonowi: Widzisz tę niewiastę? Wszedłem do domu twego, nie podałeś mi wody do nóg, a ta łzami skropiła stopy moje i włosami swymi otarła. Pacałunku mi nie dałeś, a ta odkąd weszła, nie przestaje całować nóg moich. Nie namaściłeś oliwą głowy mojej, a ta olejkiem nogi moje namaściła. Dlatego powiadam ci: Odpuszczone są liczne jej grzechy, bo wielce umiłowała. A komu mniej odpuszczają mniej miłuje. Rzekł tedy do niej: Odpuszczają ci się grzechy. I poczęli współbiesiadnicy mówić między sobą: Któż jest ten, który nawet grzechy odpuszcza? I rzekł do niewiasty: Wiara twoja zbawiła cię. Idź w pokoju!

(Łuk. VII 36—50).

Opis ten tak jest plastyczny, że św. Grzegorz powiedział: „Gdy się w tę scenę wpatruję, mam ochotę płakać i milczeć". I my z nim to powtórzymy. Kościół trzy razy w roku czyta tę perykopę: w czwartek po Niedzieli Męki Pańskiej, w piątek Suchych dni wrześniowych i 22-go lipca w uroczystość Marii Magdaleny, gdyż wedle niektórych uczonych ową jawnogrzesznicą była Maria z Magdali, miasteczka położonego nad brzegiem Genezaret. Słynęła z piękności, młoda i o gorącym sercu zapragnęła kochać i być kochaną, co wykorzystali niektórzy nieuczciwi ludzie, spychając ją do błota, wyrzucając poza nawias społeczności. Musiała usłyszeć o Jezusie, prawdopodobnie i Jego słyszała, może znała

przypowieść o synu marnotrawnym i zgubionej owieczce, może poznała Jego naukę o miłości i przebaczeniu, dość, że tknięta łaską, poczuła drzemiącą na dnie duszy godność ludzką i pragnienie odnalezienia szacunku dla siebie, zapragnęła wyrazić temu nieznanemu Mistrzowi swą wdzięczność i cześć, a idąc za głosem serca, udała się na ucztę do Szymona.

Uczty w Palestynie odbywały się zwykle o zachodzie słońca przy szeroko rozwartych drzwiach, którymi wpadało światło. Każdy przechodzień mógł wejść, czy to wiedziony ciekawością, czy w nadziei uzyskania jałmużny. Weszła więc i Maria. Wedle ówczesnego zwyczaju niewolnik umywał gościom nogi, podawał wodę do umycia rąk i namaszczał nogi i ręce. Gospodarz witał gości pocałunkiem, a gdy chciał kogoś uczcić, sam podawał wodę. Zwyczaj umywania nóg powstał z konieczności, ponieważ chodzono boso lub w sandałach, a ucztowano leżąc na wzór Rzymian. Szymon przyjął Pana Jezusa z musu, gdyż wypadało zapraszać ludzi o takim rozgłosie, ale i on i jego biesiadnicy odnosili się do dostojnego Gościa niechętnie, dlatego nie złożył powitalnego pocałunku i pominął zwyczaj umywania nóg, co mu delikatnie wymówił Zbawiciel. Niechęć do Jezusa wzrosła, skoro Ten nie zareagował na czyn jawnogrzesznicy.

Potężne jedno uczucie raczej milczeniem i czynem wypowiada się niż słowami, ale ileż w tym milczeniu i w tym czynie miłości. Balsamem namazuje stopy, by okazać swą cześć i wdzięczność, zrasza je łzami, by wyrazić skruchę. To wszystko wypływa z wewnętrznej potrzeby serca i dlatego nie zwraca uwagi na szyderstwa faryzeuszy, na pogardę tych, którzy ją sami pchnęli na drogę grzechu. Jakiż ten gest duszy majestatyczny, jak potężny, jak wymowny.

W scenie tej nie wiadomo, co więcej podziwiać, czy dobroć i łaskawość Chrystusa, czy potężne działanie łaski w duszy pokutnicy, nam jednak w tej chwili chodzi o co innego. Magdalena nic nie mówi, ale tym, co czyni mówi bardzo wiele, bo i ruchy mają swoją wymowę. Jesteśmy istotami złożonymi z ciała i duszy i te dwa pierwiastki ustawicznie na siebie oddziaływują. Gdy ciało choruje, niesporo myśleć i modlić się; gdy dusza cierpi — odbija się to na zdrowiu. Ruchy zewnętrznie wyrażają to, co się wewnątrz czuje, ale i odwrotnie pewne ruchy mogą wywołać odpowiadające im uczucia. Ileż to razy ktoś nie może się modlić, ale gdy klęknie, ręce złoży, gdy padnie krzyżem na ziemię od razu poczuje swoją niemoc i majestat Boży. Po zachowaniu w kościele, po układzie ciała można doskonale wnioskować o wartości modlitwy danej osoby.

Tym prawem psychologicznym o ruchach i ich zależności od usposobienia kierował się Kościół, pociągając w liturgii do kultu Boga i nasze ciało. W Encyklice Piusa XII o liturgii czytamy: „Pełny kult, jaki

Kościół Bogu oddaje ma być zewnętrzny i wewnętrzny... tego wymaga natura ludzka złożona z duszy i ciała... Kult Boży nadto nie jest sprawą jednostki, ale również całej wspólnoty ludzkiej, dlatego musi być społeczny, co oczywiście nie mogło by się urzeczywistnić, gdyby w religii nie stosowano zewnętrznych więzi i znaków. Ta zewnętrzna strona kultu ujawnia w osobliwy sposób jedność Ciała Mistycznego i stawia je we właściwym świetle, rozwija w nim zapał, wzmacnia jego siły i ożywia z dniem każdym jego działalność" (str. 38). „Dzięki tym czynnościom i symbolom budzi się cześć dla rzeczy świętych, myśl wznosi się ku niebu, pobożność się wzmacnia, a miłość rozpala, rośnie wiara, gorliwość się utwierdza, dusze proste doznają pouczenia, przystraja się kult Boży, zachowuje się religia, a prawdziwych chrześcijan można odróżnić od fałszywych i nieprawdziwych". (tamże).

Podkreśla jednak Papież, że oddaliliby się od ducha prawdziwej liturgii ci, którzy uważaliby tylko na cześć zewnętrzną, na symbole i ruchy. Zewnętrzne spełnianie obowiązków musi i w duszy wywierać skutki, by religia nie stała się formą bez treści. Już w Starym Testamencie prawo Boże dokładnie określało zewnętrzne ceremonie, wiemy również, że Dawid pląsał przed Arką na znak czci, a pacholęta śpiewając psalmy wykonywały pewne ruchy. Ruchy pociągają wyobraźnię i dlatego na Wschodzie widzimy ich więcej, dlatego i dziecko potrzebuje je w swej pobożności.

Ruchy liturgiczne są spontaniczne, naturalne, nie krępują wolności, dziecko zaś musi czuć tę wolność, w kulcie, do którego go wciągamy. Strzec się musimy, by tu nie było sztuczności i tresury, która z nabożeństwa robi widowisko teatralne, co nieraz się widziało w zgromadzeniach francuskich. Dzieci wtedy myślą o tym, jak je wykonać, a nie o Bogu, którego uczcić mają. Liturgia odpowiada naturze człowieka, gdyż religia, aby weszła w życie musi przybrać formę zewnętrzną.

Do liturgii trzeba wychować. Pierwszym etapem będzie obserwowanie ruchów liturgicznych i objaśnianie ich, to spowoduje ich naśladowanie, drugim momentem to ćwiczenie w prawidłowym ich wykonaniu i dawanie odpowiednich podniet do ich zastosowania. Niedawno Łubieńska de Laval wydała ciekawą książkę pt.: „O wychowaniu zmysłu nadprzyrodzonego" (w języku francuskim) i uważa, że modlitwy i pieśni religijne winny być ilustrowane ruchami, bo wówczas głębiej są przeżywane. Powołuje się na dr Marię Montessori, która podobne inscenizacje wprowadziła w swych domach dziecięcych w Rzymie.

Przypomnijmy sobie najważniejsze ruchy, które dzieci winny opanować. Przede wszystkim żegnanie się krzyżem. Wyznajemy nim dwie podstawowe prawdy naszej wiary, o Trójcy Przenajświętszej i Odkupieniu, należy więc go czynić z szacunkiem, wolno, dokładnie, kładąc rękę na ramionach, jakbyśmy chcieli tym znakiem się opasać i uzbroić

przeciw pokusom i niebezpieczeństwom. Żegnamy się przed modlitwą, by się lepiej skupić, po modlitwie, by w nas trwał jej skutek; żegnamy się, gdy nas kto błogosławi i aby w godzinę śmierci mogliśmy wyznać z godnością naszą wiarę tym znakiem świętym, w imię którego byliśmy ochrzczeni. A nieraz niedbale czynimy ten znak i na to niedbalstwo pozwalamy innym.

Znak krzyża czynimy prawą ręką, ręka bowiem jest narzędziem ducha. Małe dziecko, niemowa, człowiek niekulturalny mówią za pomocą rąk, ale i my często ręką uzupełniamy myśl wypowiedzianą słowami, lub ruchem jej nadajemy specjalny odcień naszym słowom. Z radości klaszczemy, w gniewie zaciskamy pięści, witając się — szeroką dłoń otwieramy, wyciągając rękę, a ileż mówi sam rodzaj uścisku? Łamiemy ręce w rozpaczy, opuszczamy w niemym bólu, bezmyślnie nią ruszamy w chwili zdenerwowania. Ręką pracujemy, atakujemy, bronimy się, pieścimy, karzemy, strofujemy itd. I w modlitwie ręka ma swoją rolę, wyraża nasze uczucia i pragnienia.

O. Woroniecki pisał swego czasu w Szkole Chrystusowej o modlitwie św. Dominika, powołując się na starą książkę pod tym tytułem. Jeden z współczesnych Świętemu, podpatrzył na modlitwie św. Patriarchę i wspomniał o różnych pozach jego w czasie rozmowy z Bogiem. Jak raz wyciągał ręce, drugi raz wznosił, to znowu krzyżował na sercu, lub rozkładał krzyżem na ziemi itp. I my, gdy się korzymy i wszystkie winy ściągamy do skruszonego serca, by je przedstawić Miłosierdziu Bożemu — to się bijemy w piersi, gdy chcemy wyznać swą małość i pokorę, padamy krzyżem na ziemi z rosportartymi ramiony. Gdy błagamy, ręce składamy, gdy zatęsknimy za niebem wysoko je wznosimy, wielbiąc Pana, a miłość wyrażamy, kładąc ręce na sercu i mocno je przyciskamy, by nam nikt tej miłości nie wydarł.

Ruchom ręki towarzyszy i ruch głowy, która albo się pochyla, albo podnosi, albo też spokojnie trwa w bezruchu kontemplując jakąś prawdę. A ileż mówią oczy i cały wyraz twarzy, ile łzy, układ ust, tęsknota lub żar uczucia ciskającego błyskawice. Gdy chcemy przybrać właściwą postawę wobec Boga, klękamy (ale nie siadamy na nogach). Klęka się poważnie, spokojnie, bez pośpiechu i oddaje się pokłon Temu, do którego przyszliśmy na audiencję. W pierwotnym kościele rzadko klękano, w bazylikach jeszcze dziś w Rzymie nie widzimy klęczników, hołd Panu oddawano postawą stojącą. Ta postawa wyrażała opanowanie, gotowość na posłuch, czujność na głos Boży. I dlatego wstajemy na czytanie Ewangelii, na Credo, którym wyznajemy naszą wiarę, w czasie hymnów kościelnych, zwłaszcza Magnificat i Te Deum. Należy uczyć stać porządnie, na obu stopach, prosto, z szacunkiem bez podpierania się.

Uczymy również prawidłowego, estetycznego pochodu, który pomoże do uczestniczenia w procesjach. Pochód powolny, rytmiczny wyraża przejęcie się manifestacją, którą czcimy jakąś ideę czy jednostkę. Niełatwo jest iść z namaszczeniem, rytmicznie, trzeba ćwiczyć.

Pan Bóg powiedział do Abrahama: „Chodź przede mną i bądź doskonały". Całe nasze życie jest takim pochodem w obecności Boga, do Boga. Kto o tym pamięta, ten wszystkie ruchy ma dziwnie poważne i całe życie staje się nastawionym na liturgię, którą coraz lepiej będzie rozumiał, coraz głębiej przeżywał.

S. Barbara Żulińska

Ku rozwadze

„Jeśli wypadnie nam znieść jakąś niesprawiedliwość, pamiętajmy, że ciąży na nas tyle naszych grzechów ukrytych, których nikt nam nie zarzuca i w tej niesprawiedliwości ludzkiej umiejmy dostrzec sprawiedliwość Bożą, co nas oczyszcza".

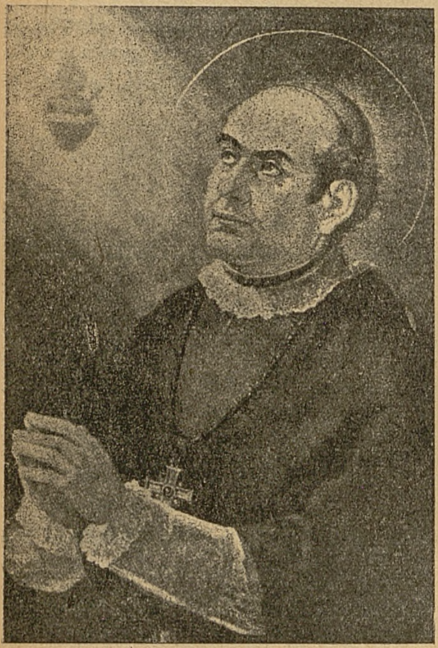
„Gdy spotyka nas krzyż, jest to spotkanie z Jezusem, który nas kocha i chce odtworzyć w nas swoje własne rysy; jest to spotkanie z Jezusem, którego kochamy".

„Nie zna się czyjejś duszy prawdziwie, póki nie pozna się jej krzyża".

W Ogrojcu: „wśród przygnębiającego smuku Jezus zachowuje doskonałą zgodność z wolą Boga... Porównajmy ten smutek Jezusa z naszymi smutkami. Nieraz tworzymy sobie sami zmartwienia nierozumne i bezpodstawne. Kiedy indziej znów nasze nieostrożności i winy powodują bolesne, zupełnie zasłużone skutki, które nas drażnią. Zdarza się też, że dla naszego oczyszczenia Zbawiciel zsyła nam bardzo bolesne doświadczenia, które niestety rzadko kiedy dobrze znosimy. Zapatrzmy się na nasze dwa wielkie wzory: Jezusa i Maryję, a zrozumiemy, że prawdziwe zło, nad którym boleć winniśmy, to popełnione przez nas grzechy i ich skutki sięgające dalej, niż myślimy — grzechy, które gubią dusze".

„L'amour de Dieu et la Croix de Jésus" (Garrigou-Lagrange, t. II, str. 885 i nast.).

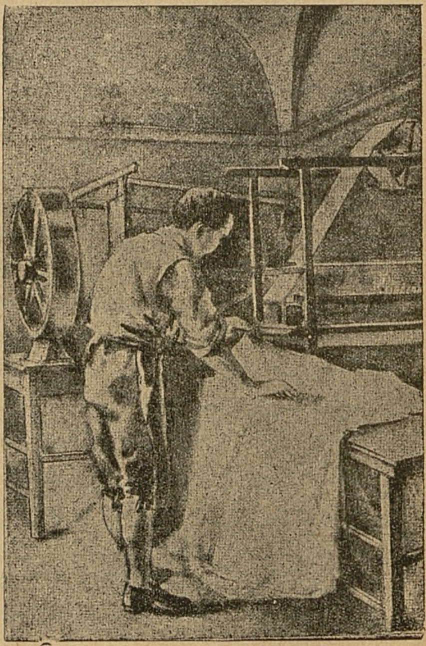
ŚW. ANTONI MARIA CLARET



Świętego Antoniego Clareta możemy śmiało zaliczyć pomiędzy największych ludzi w Kościele katolickim 19-go wieku. Serca czystego, umysłu niepospolitego ale przede wszystkim niezmordowanego zapału apostolskiego — tym człowiekiem był Antoni Claret. Nadto święty dostojnik, biskup Kuby, Założyciel klarecjanów i klarecjanek, niestrudzony głosiciel słowa Bożego, inicjator prasy katolickiej, spowiednik dworu hiszpańskiego, i uczestnik Soboru Watykańskiego.

Urodził się w Salent pod Barceloną 23 grudnia 1807 r. z rodziców pobożnych tkaczów. „Po Bogu, wyznawał, wszystko zawdzięczam rodzicom, którzy byli bardzo dobrzy". Młodość przepędził bez splamienia swej czystej duszyczki. Koledzy doskonale znali jego wrażliwość na każdy grzech, i często uprzedzali, gdy się zbliżał do nich, mówiąc: idź stąd, bo mówimy o brzydkich rzeczach. On zaś często przemyśliwał jak podziałać zbawiennie na swych kolegów. Ci doznając jego dobroczynnego wpływu, wróżyli mu, że będzie księdzem. Zanim jednak miało dojść do tego, Antdś musiał jeszcze wiele przedtem pracować fizycznie i doznawać wielu niebepieczeństw i prób życia.

Zaczął już uczyć się pod kierownictwem jednego kapłana, przygotowującego go do przyszłych nauk seminaryjnych. Z powodu jednak trudności ekonomicznych rodzice odwołali go do domu. Zabiera się więc do pracy w warsztacie tkackim swych rodziców. Obok pracy fizycznej praktykował zdro-





W r. 1830 studiuje w zakładzie seminaryjnym w Vich. W seminarium celuje pobożnością i umartwia się srodze. — W tym też okresie przypadają największe pokusy przeciw anielskiej cnocie, które zwycięża. Święcenia kapłańskie otrzymuje 13. VI 1835 r. — W pierwszym okresie pracy kapłańskiej zasłynął głównie jako misjonarz apostolski Katalonii. Misje jego miały szczególne powodzenie. Nie brakowało im nadzwyczajności, gdyż szatan widząc, ile dusz wyrywa z jego szponów ten młody zapaleniec Boży, nie wahał się im otwarcie przeszkadzać. Pewnego razu w czasie kazania ozwały się organy. Claret rzekł wtedy organiście: „Zamknij regestr Flauta, bo tam siedzi diabeł". Przeglądał także tajniki dusz. Pewnemu wieśniakowi, który odezwał się doń złośliwie: „Hej, księże, możebyście tak wyspowiadali mojego osła" — odpowiedział. „oj biedaku, i ty już nie byłeś siedem lat do spowiedzi, chodźcie, to was wyspowia-

wą pobożność. W każde rano odprawiał chwilę rozmyślania, szedł do kościoła, przyjmował często Komunię świętą, nie opuszczał nigdy odmówienia „Anioł Pański" i całego różańca. W warsztacie swej pracy był prawdziwym apostołem. — Oduczył towarzyszy przekleństw i plugawych rozmów. Dawał im w przyzwoitym i budującym zachowaniu się najlepszy przykład. Celował w cnocie cierpliwości. Gdy mu się nić bardzo często urywała, mówił spokojnie: „Przerwałaś się, to cię znów zwiążę". Toteż gdy przychodził do pracy mawiali koledzy: „Oto idzie nasz święty". Przez wytrwałą pracę a potem studia zawodowe w Madrycie doszedł nawet do pewnej perfekcji w sztuce włókniarskiej. Przy tym nie tracił jednak z oczu celu, jaki upatrywał w kapłaństwie, a do którego tęsknił w głębi duszy. Dopiero niebezpieczeństwo utonięcia, z którego wyratowała go Maryja, zwraca go zdecydowanie na drogę do kapłaństwa.



dam". Wieśniak poznał w nim człowieka bożego i prosił zaraz o przebaczenie.

Tajemnicą powodzenia Clareta w pracy kapłańskiej była pokuta i wielka miłość do Maryi. Na Soborze Watykańskim usilnie popierał sprawę ogłoszenia dogmatu Jej Wniebowzięcia.



W uznaniu jego zasług i wielkich uzdolnień apostolskich, Stolica święta mianuje go w r. 1850 biskupem Santiago na Kubie. Odnowienie zaniedbanej diecezji rozpoczyna od poświęcenia jej Sercu Maryi. Następnie przeprowadza na szeroką skalę misje, odnawia ducha wśród swego duchowieństwa, a najwięcej przykłada starań około organizacji seminarium duchownego. Nie zrażał się trudnościami podróżowania w zacofanym kraju. Owoc jego pracy uwydatnić nam może mały urywek statystyczny jego działalności: W ciągu trzech lat naprawił 12 tys. małżeństw, legitymował 40 tys. dzieci, zjednoczył 300 małżeństw rozbitych, dokonał 300 tys. nawróceń. W pracy swej rozumiał doskonale wpływ dobrej książki. Toteż założył księgarnię, prowadząc jej akcję wydawniczą, zakładał biblioteki, a w końcu sam pisał, oczywiście po nocach, liczne książki. Napisał książek i broszur o 120 tytułach. Spuścizna jego wynosi 144 tomy.

Sława jego owocnej działalności dotarła zza mórz na dwór królewski w Madrycie. Toteż królewska para zapragnęła go mieć swym spowiednikiem nadwornym. Za pozwoleniem Stolicy świętej zgodził się objąć dworską placówkę.

Święty biskup dokonał jeszcze wielu innych dzieł, które tylko wymienimy: Założenie klarecjanów i klarecjanek, zorganizowanie Koła katolickich myślicieli (Akademia św. Michała), restauracja Escorialu i reforma wielu zgromadzeń. Działalność jego była zakrojona na szeroką skalę; szukał chwały Bożej wszędzie i wszelkimi sposobami. Jego dewizą było: „Jezus, Maryja i dusze". A jego życie, można powiedzieć, że było całe przechrystusowione, że ci, co się z nim zetknęli, powiadali, że się nań patrzało jak na tabernakulum". — Umarł we Francji w roku 1870. Kanonizowany 7. V. 1950 r.

Karm. bosy.

WYRÓWNANIE RACHUNKU

Obowiązek płacenia zaciągniętych długów należy do pojęć ustalonych w stosunkach między ludźmi. Podobnie jest z zadosyćuczynieniem za wyrządzoną krzywdę. Poczucie to wchodzi w zakres zwykłej ludzkiej uczciwości. Podstawą jego jest cnota sprawiedliwości, która każdemu oddaje to, co mu się z prawa należy.

Ale nasze stosunki społeczne nie wyczerpują się w zakresie międzyludzkim. Jest Ktoś, z Którego istnieniem i żądaniami musimy się też liczyć i względem Którego obowiązani jesteśmy również do pełnienia nakazów sprawiedliwości. Jest nim Bóg, a jedną z rzeczy, których Bóg ma prawo od nas wymagać — to przysparzanie Mu należnej chwały zewnętrznej. Oddajemy Mu ją spełniając Jego wolę i pełniąc akty cnoty religijności (pobożności).

Czyż trzeba jednak długo mówić o tym, jak często odbiegamy od tego założenia? Każdy nasz grzech — a któż ich nie popełnia — jest sprzeciwianiem się woli Bożej, a tym samym jest umniejszaniem tej czci, jaka się Bogu od danej jednostki należy. Czy można się zatem dziwić, że Bóg ma prawo żądać zadośćuczynienia, że musi być przywrócona nadwyrężona równowaga, inaczej bowiem władztwo Boga nad światem pozostałoby tylko czczym frazesem.

Człowiek jest jednak istotą wolną. Choć podlega on stojącym ponad nim kodeksami sprawiedliwości bożej, to jednak zdolny on jest do tego, że nie podlega mu tylko przymusowo, jak niewolnik, ale i dobrowolnie, jak wolny obywatel królestwa bożego. I ten to właśnie wolny człowiek zdaje sobie sprawę z tego, że obowiązek uczciwości nadprzyrodzonej żąda od niego dobrowolnego uiszczenia się wobec Boga z zaciągniętych przez grzech długów i do przywrócenia Mu należnej — a przez grzech nie oddanej — chwały.

Formą, w której to wyrównanie dokonać się może i dokonuje jest nadprzyrodzona cnota pokuty.

Pokuta — surowy to wyraz i niemiły naturze ludzkiej, która najchętniej, jako cel swych dążeń, postawiłaby przyjemność i tylko przyjemność. A jednak pewne elementy pokuty nie są tak obce psychice ludzkiej, jakby się to na pozór wydawać mogło. Dochodzą one bowiem do głosu we wszystkich formach stosunku ludzi z Bogiem czy z bóstwami pogańskimi, w każdej bowiem religii istnieją ceremonie, przy pomocy których ludzie starają się przebłagać gniew boży, wywołany przez popełnione przez siebie winy. Nie wszędzie jednak towarzyszy im istotny składnik pokuty — wewnętrzne usposobienie duszy istotnie żałującej za popełnione wykroczenia. Jest on dopiero niezaprzeczalnym dorobkiem chrześcijaństwa, które korzeniami swymi sięga Starego Testa-

mentu, gdzie widzimy zaczątki prawdziwego ducha pokuty u Dawida i Salomona, u Proroków, u Joba i innych. W historii Kościoła był okres, że duch pokuty natrafiał na należyte zrozumienie, ale były też czasy, w których wpadał w przesadę, w ekscesy, w zboczenia, tracąc tym samym swą wartość, jaką czynom ludzkim nadaje zawsze roztropny umiar. Ale dziś widzimy, jakby odchylenie w drugą stronę, tj. obserwować można zanik ducha pokuty, a zatem i niedomiar sprawiedliwości, jaką winniśmy się kierować w stosunkach z Bogiem. I może dlatego, że tak niechętnie praktykujemy uczynki pokutne Bóg sam daje nam do nich sposobność, zsyłając nam krzyże, będące okazją do zadosyćuczynienia za nasze przeciwko Niemu wykroczenia.

Pojęcie pokuty musi się łączyć z pojęciem kary. Sprawiedliwość domaga się, by wszelkie zło zostało ukarane, a że każda kara jest przykrością, więc w karze wyrównane zostaje nieprawe zdobycie niedozwolonej przyjemności, jaką zawierał w sobie grzech, będący skutkiem dogadzania sobie spaczonej natury ludzkiej. Tę karę Bóg wymierza nam za pośrednictwem różnych okoliczności życia, a także za pośrednictwem ludzi złych, którzy są dla nas źródłem różnych przykrości i za pośrednictwem tych osób, które mają nad nami doczesną władzę: rodziców, wychowawców i wszelkiego typu przełożonych. Ustanowieni z woli bożej do czuwania nad wykonywaniem przez nas prawa bożego wolno im i mają oni nawet obowiązek karać nas za jego przekraczanie. Przyjmując wszystkie te formy przykrości w duchu pokuty zadosyćuczynimy wobec Boga za uczynione zło, podporządkowujemy się pod jego prawa, a tym samym zwracamy Mu niedobór chwały, jaką ujęliśmy Mu przez nasze grzechy. Toteż cnota pokuty jest nie tylko składnikiem cnoty sprawiedliwości, ale i cnoty religijności (pobożności), której przedmiotem jest oddawanie czci Bogu.

Grzech niestety nie pozostaje bez śladu w duszy. Przede wszystkim nawet choć grzesznik ma poczucie swej winy i wstydzi się jej — to jednak w jego władzach pożądawczych grzech pozostawił przywiązane do siebie, tj. do tej przyjemności, dla której grzech bywa popełniany. Jest to tzw. zmaza grzechu, której rozmiar zależy od siły zakorzenienia się skłonności do danego grzechu w duszy, a więc od wielkości posiadanego nałogu. Dopiero wewnętrzne oderwanie się od zła, tkwiącego w grzechu, a więc prawdziwy akt skruchy maże w duszy grzesznika ten ślad pogrzeszny i przywraca duszy pierwotną jej czystość. Oczywiście skrucha tą musi być nadprzyrodzona. Ale działanie jej nie jest wszechstronne. Nie wyrównuje ona długu i kara nie może być przez nią zgładzona. Konieczne tu jest zadosyćuczynienie przez poniesienie kary, która sama jedna jest przykrością równoważącą poprzednią niedozwoloną przyjemność.

Prawdziwy duch pokuty nie czeka na to, by kara przyszła z zewnątrz od Boga lub od ludzi, ale dusza, w której zapuściła korzenie

cnota pokuty sama dobrowolnie oczyszcza swe konto z zaległości. Kieruje nią w tym gorliwość o przywrócenie chwały bożej, której uchybiła. Dusza taka potrafi w życiu swym znaleźć niezliczone sposobności wynagrodzenia nie tylko za siebie, ale i za drugich. W duchu pokuty przyjmuje wszelkie cierpienia fizyczne i moralne, jakie ją w życiu spotykają, przyjmuje w tej intencji śmierć, jaka ją czeka niechybnie, a która zarysowuje się zawsze człowiekowi, żądnemu życia, jako najgorsze zło, a ponadto dusza taka pełni sama dobrowolnie liczne akty pokutne, jak posty, jałmużna, modlitwa, różne umartwienia itp. Dla duszy takiej zło płynące z cierpienia, jakie niesie ze sobą kara za grzech, zamienia się w dobro, bo jest tą bezcenną monetą, jaką rzuca na szalę wyrównawczą. Nie czeka ona aż przyjdzie jej płacić przymusowo na drugim świecie — oby nie wiecznie! — ale chętnie i dobrowolnie już tu na ziemi wypłaca za siebie i płaci za innych ofiarnym sercem. Łączy się w tym z Chrystusem wynagradzającym, którego wszak całe życie — nie tylko sama męka — było nieustannym dobrowolnym wypłacaniem Bogu za grzechy ludzi. „Pan włożył nań nieprawość nas wszystkich“ — powiada Pismo św. I Chrystus za tę nieprawość wynagradzał Bogu swym umartwionym, aż po śmierć na krzyżu, życiem.

Cnota pokuty nie musi mieć charakteru ostentacji. Tę ostatnią zganił nawet Chrystus wyraźnie w Ewangelii, zarzucając faryzeuszom, że spełniają publicznie uczynki pokutne, ale nie po to, by wynagrodzić za swe grzechy, lecz dlatego, by ich uważano za wielce pobożnych. Więc z głębi duszy nie żal za grzechy, ale pycha była pobudką tych aktów. Również w ekscesach pokutnych niektórych czasów historii Kościoła mało było istotnego ducha pokuty. Chrystus natomiast zalecił dokonywania uczynków pokutnych w skrytości, bez zwracania na siebie uwagi drugich. Wówczas pokuta jest najbardziej zasługująca.

Felicja Żurowska.

„Jeżeli życie nie pozostaje na wysokości myśli, myśl niebawem opada do poziomu życia“. (Garrigou-Lagrange: L'amour de Dieu et la Croix de Jesus“, t. II, str. 743).

„Każdy człowiek jest dzieckiem swej lektury i otoczenia, z którym obcuje“. (O. Łukasz od św. Józefa: Świętość zakonna, str. 349).

„Cóż jest żeście Mnie szukali?“

Listy do Krystyny o możliwościach osiągnięcia świętości w małżeństwie

XXI

Krysieńko Droga!

W związku z mymi listami do Ciebie, docierają do mnie różne prośby. A to, żeby wypisać receptę na wybór odpowiedniej żony, czy dobrego męża. A to żeby wyjaśnić na czym polega właściwie tajemnica dobranego małżeństwa itp. Między innymi były też i prośby o jakiś schematyczny choćby, ogólny zarys pedagogiki w rodzinie katolickiej. Żeby sprawa wychowania w rodzinie mogła — nie pociągając za sobą konieczności wertowania długich i przeważnie zawiłych podręczników pedagogicznych, lub mozolnego wypracowywania własnych metod wychowawczych — nie być igraszką przypadku.

Otóż tej prośbie, zarówno jak i innym jej podobnym, to znaczy prośbom podyktowanym pewnym wygodnictwem i pragnieniem ułatwienia sobie zadania. nie mogę, niestety, uczynić zadość. Po pierwsze dlatego, że rady ogólne (a więc z konieczności ogólnikowe) dotyczące spraw, które są z samej swej natury jednostkowe i niepowtarzalne — po prostu mijają się z celem. — W odniesieniu do tego rodzaju spraw wszelkie, choćby najlogiczniej skonstruowane teorie pozostaną zawsze w dziedzinie abstrakcyjnej spekulacji myślowej. Zastosowane do konkretu, w zetknięciu z realiami każdego poszczególnego przypadku — okażą się zupełnie nieprzydatne. Po drugie dlatego, że głównym naszym tematem jest świętość w małżeństwie, a w świętości jakoś nie bardzo jest miejsce na wszelkiego rodzaju „łatwizny“. Świętość w małżeństwie, na którą składa się w dużej mierze również i trud wychowawczy, wymaga bowiem aby rodzice zadali sobie jednak fatygę przewertowania, może nawet przestudiowania podręczników pedagogicznych, a zwłaszcza, aby wypracowali sobie na własny użytek indywidualną metodę wychowawczą. I to „indywidualną“, nie tylko w tym znaczeniu, iż została wypracowana przez poszczególnych rodziców, ale również i w tym znaczeniu, że do każdego ze swych dzieci rodzice ci podchodzą indywidualnie, stosując do każdego z nich zależnie od jego charakteru i usposobienia — inny system wychowania. Tak często słyszy się powiedzenie: „przecież to wszystko dzieci jednego ojca i jednej matki, wszystkie chowane identycznie, a każde z nich jest inne; jedne takie udane, a drugie takie jakieś „chybione!“ Potwierdza ono tę prawdę, iż nawet dzieci jednej matki i jednego ojca nie powinny być chowane identycznie. Bo każdy człowiek jest w całej swej strukturze somatycznej i psychicznej jednostką niepowtarzalną. Nawet ten ogólnie przyjęty aksjomat, iż najlepszą, poglądową metodą wychowawczą jest przykład dawany przez rodziców — też nie zawsze wytrzymuje próbę życia. Znałem, niestety, wypadki, gdzie rodzice naprawdę głęboko i szczerze religijni, zbyt ostentacyjnie dawanym przykładem, zrazili swe dzieci do religii. Albo takie, gdzie wspaniała ofiarność rodziców, nie tylko w stosunku do własnych dzieci, ale do bliźnich w ogóle (znasz ten rodzaj domu, gdzie to choćby nie wiem ile w nim było dzieci i ustawicznych potrzeb, zawsze jeszcze znajdzie się z czego nakarmić głodnego lub nagiego przyodziać), jakimś złośliwym rykoszetem, odrzuciła dzieci na przeciwległy biegun skrajnego egoizmu. Nie wszystko, bowiem, do czego dziecko przywyka od najmłodszych lat, wsiąka mu automatycznie w duszę i krew. Jeśli to „coś“ do którego ma ono przywyknąć, nie zostanie mu podane z należytym umiarem i pokorą, krótko mówiąc — przy współudziale wszystkich darów Ducha św. — to daleko częściej niż się nam zdaje, nie tylko, że nie wsiąka, ale przeciwnie drażni, mierzi, „zgrzyta po nerwach“, aż w końcu ze szczętem i na zawsze obrzydnie.

Toteż, niech raczą mi wybaczyć moi petenci od spraw wychowawczych, ale wydaje mi się, iż dawanie komuś, choćby najbardziej zsyntetyzowanego wyciągu ze wskazań wszystkich kierunków pedagogiki, w nadziei, że się to na coś przyda praktycznie — jest nonsensem. Natomiast pragnąłbym im jak najusilniej zalecić, ażeby — nie zaniedbując ani podręczników, ani konieczności wypracowania sobie własnego systemu — zechcieli pamiętać o tym, że wychowawcy powinni, przede wszystkim, strasznie dużo się modlić. Modlić się o dary Ducha św. dla siebie i dla swych wychowanków. Modlić się o światło, o roztropność, o męstwo i umiejętność. Jednakowoż — właśnie z punktu widzenia świętości, a może również i dlatego, że systemy wychowawcze przeważnie tego aspektu sprawy nie biorą pod uwagę — chciałbym z Tobą rozważyć nieco sprawę stosunku rodziców do dziecka objawiającego zadatki świętości.

W Żywotach Świętych spotykamy się przeważnie z dwoma typami rodziców świętego. Do pierwszego typu należą przeważnie matka bierna i zastrachana, lecz sprzyjająca po kryjomu nadprzyrodzonemu powołaniu swego dziecka i ojciec despota, rozpierany ambicją i chciwością, który wszelkimi sposobami, jakimi dysponuje, aż do okrucieństwa włącznie sprzeciwia się temu powołaniu. Klasycznym przedstawicielem tego typu jest stary Bernardone, ojciec św. Franciszka z Asyżu. Ale starego Bernardone usiłuje nowoczesna hagiografia „odbrązowić" w sensie dodatnim, starając się wykazać, że być ojcem świętego nie należy do ról łatwych. Że trzeba niemałej umiejętności wczucia się w zamysły Boskiego Reżysera, żeby tą rolę odegrać jak należy. Krótko mówiąc, że na to, aby umieć być ojcem czy matką świętego, trzeba być samemu świętym.

Drugi typ rodziców, daleko częściej spotykany na kartach życiorysów świętych to ludzie, których autorzy zbywają zazwyczaj krótką wzmianką. Dowiadujemy się, że taki, a taki święty urodził się tam a tam „z rodziców zacnych i bogobojnych". Przyznam się, że zawsze mnie drażni ten uświęcony zwrot, zalatujący uproszczeniem i banałem. Chciałoby się jednak coś więcej wiedzieć o tych „zacnych i bogobojnych ludziach", o ich stosunku do świętości syna lub córki. Czy od razu umieli się na tej świętości poznać? W jakiej mierze przyczynili się do jej wyhodowania? W jakiej mierze rozwinęła się ona poza zasięgiem ich wychowawczych wpływów? Jednakże — poza kilkoma wybitnymi wyjątkami, jak św. Monika, czy rodzice obu świętych Teres i kilku innych, których portrety naszkicowane przez ich święte dzieci zostały przekazane potomności — to o rodzicach innych świętych wiemy bardzo mało. Wystarczy jednak choćby ten wyświechtany zwrot „zacni i bogobojni" (przeważnie rodzice licznego potomstwa) abyśmy przy odrobinie wyobraźni mogli sobie odtworzyć ich rysy. Przypuszczam, że musieli należeć do legionu nieznanych świętych. Ponieważ świętość posiada bez wątpienia cechy zjawiska zaraźliwego nic więc dziwnego, że swoją świętością zarazili własne dziecko. Co by jednak było interesujące, to móc stwierdzić jaka była ich reakcja i stosunek do świętości przejawiającej się u dziecka w bardzo młodym wieku i już w tym młodym wieku przerastającej miarę świątobliwości rodziców; a zwłaszcza różniącej się w typie od typu reprezentowanego przez nich.

Pamiętasz, żeśmy sobie powiedzieli na początku, iż święci bywają zawsze „aktualni". Iż każda epoka, nawet nieraz każde pokolenie wydało inny typ świętości. Bo choć prawda Boża jest niezmienna, jednak każdy święty w zależności od potrzeb czasowych swej epoki i własnego typu psychicznego naświetla tę prawdę od innej strony.

Ta różnorodność w jedności stanowi właśnie o bogactwie „społeczności świętych". Jednakże nie każdy to rozumie. Ludzie na ogół nie zdają sobie sprawy, jak dalece ulegają sugestii „wzorów" doskonałości. Skłonność do schematyzacji grozi nam w dziedzinie oceny świętości równie dobrze jak w każdej innej. Toteż wydaje mi się, iż pomiędzy rodzicami którzy sami stoją na wyso-

kim szczeblu wyrobienia wewnętrznego i stworzyli sobie na własny użytek pewną wypróbowaną już koncepcję typu doskonałości jaki pragną realizować — a dzieckiem, które w tym wieku, gdy jeszcze całkowicie podpada pod autorytet rodzicielski, przejawia zupełnie nowy typ świętości, musiał się jednak zarysować pewien konflikt. Oczywiście już nie ten rodzaj grubego zatargu co sprzedane sukno i poniżoną ambicję ojca Bernardone. Ale konflikt subtelny czysto nadprzyrodzony, który byłby nieskończenie ciekawy zarówno dla hagiografa jak i dla psychologa. Nie wiem zresztą czy słowo „konflikt" jest w tym wypadku fortunnie dobrane. Bo nie chodzi tu o konflikt sensu stricto. Ale raczej o pewnego rodzaju nie zrozumienie, o jakieś rozmijanie się, lub wręcz niedostrzeżenie, lub zdziwienie, krótko mówiąc o jakiś paralelizm dwu linii biegnących w jednym kierunku, które jednak nie mogą zetknąć się ze sobą, zlać się w jedno, by nie wybiegły aż w nieskończoność (gdzie dopiero jak wiemy z fizyki — dwie równoległe zdołają się spotkać).

Sprawa stosunku rodziców do dziecka przejawiającego w bardzo młodym wieku znamiona wybrańswa jest może dziś bardziej aktualna niż kiedykolwiek. Bo żyjemy bez wątpienia w epoce świętych dzieci. Coraz częściej słyszy się o bardzo młodziutkich świętych, lub choćby tak świątobliwych, iż tylko fakt, żeśmy jakoś nie przywykli jeszcze do kojarzenia świadomego heroizmu z dziecięctwem — sprawił, że nie postarano się o ich wyniesienie na ołtarze. Wygląda to na jakiś wielki odwet Pana Boga za zbyt długie zapoznawanie istotnej treści słów: „Jeśli nie staniecie się jako dziatki, nie wejdziecie do królestwa niebieskiego!"

Prawdziwie Boży odwet za zło (które jeśli nie było złem, to było jednakże straszliwym nieporozumieniem). Gdyż powiedzmy to sobie szczerze, iż przez długie wieki — jeśli nie w teorii to jednak w praktyce — interpretowano słowa Chrystusowe mniej więcej tak: „Jeśli dziecko nie stanie się jako dorosły, nie może być uznany za świętego". Nie możemy jakoś pojąć tego, że świętość — to pełnia i szczyt harmonii w normalnym rozwoju człowieka w każdym stadium jego życia. To wprawdzie dojrzałość wewnętrzna, ale nie dorosłość. A przede wszystkim świętość, to całkowita zgoda na Wolę Bożą. Toteż dziecko, żeby być naprawdę święte musi przede wszystkim być w zgodzie z rolą jaką mu Bóg wyznacza. Czyli z rolą dziecka. Wszelkie wybieganie ku „dorosłości", silenie się na nią, osiąganie świętości przez zaprzeczenie treści swego wieku i stadium rozwojowego, przez zapoznawanie jego walorów — to już chyba, naprawdę, nie może być nazwane świętością.

Bo świętość w różnych okresach życia to coś bardzo podobnego do kolejności obrazów w kalejdoskopie. Z tych samych elementów strukturalnych układa się za każdym razem inny obraz, który choć odmienny od poprzedniego, jednakże powstaje z harmonii identycznych barw, w innej konfiguracji. Ale warunkiem „sine qua non" zarówno świętości, jak i harmonii obrazu w kalejdoskopie jest celowość i ład w rozmieszczeniu tych barw. Jeśli którakolwiek przeważa w sposób rażący i niczym nieuzasadniony, obraz nie będzie harmonijny, a rzekoma świętość nie będzie nawet doskonałością.

Na to, aby jakikolwiek okres w życiu człowieka mógł mieć „monopol" na świętość, potrzeba by, żeby ten okres życia mógł mieć monopol na śmierć. Gdyby żaden człowiek nie mógł umrzeć przed osiągnięciem pewnej granicy wieku, to możnaby mówić o tym, iż dopiero kształt jaki w tym wieku osiąga, jest kształtem wymaganym do pełni świętości. Ponieważ jednak śmierć może nas zaskoczyć w każdym — okresie życia, przeto każdy okres życia, a więc i okres dzieciństwa musi posiadać swój „kształt doskonały" złożony z tych samych elementów nadprzyrodzonych, co i jakikolwiek inny okres życia, lecz w układzie właściwym jego przyrodzonym danym.

Zerwijmy już raz wreszcie, my wszyscy, rodzice i wychowawcy, z tym zabójczym przesądem, że dzieciństwo jest tylko wstępem księgi życia, wstępem

przygotowującym czytelnika, lecz nie wtajemniczającym go jeszcze w samą treść utworu. Bo przecie w gruncie rzeczy każdy okres życia, jest wstępem do okresu który po nim nastąpi. Żaden natomiast nie jest tylko wstępem. Każde życie ludzkie powinno być utworem doskonałym i zamkniętym w sobie, niezależnie od tego, czy będzie wielotomową powieścią, obejmującą wszystkie okresy życia, aż do starości, czy króciutkim poematem, który w kilku wierszach, kilku lat dzieciństwa, osiągnął szczyt artystycznego wyrazu. — Lecz artystyczna doskonałość sonetu wymaga użycia innych środków ekspresji, niźli artystyczna doskonałość wielotomowego „roman — fleuve". Tak jak rembrandtowski koloryt raziłby na freskach Fra Angelico, a chimery z Notre Dame — nad wejściem do wiejskiego kościółka. Bo estetyka każdego dzieła sztuki rządzi się własnymi prawami.

Niestety jednak na ogól nie bardzo jeszcze zrozumieliśmy, że to arcydzieło nad arcydziełami jakim jest świętość też rządzi się własnymi prawami. Że tak jak sonet pisany techniką eposu nie byłby ani sonetem, ani eposem, tak dziesiecioletni malec, przejawiający cnoty trapisty nie jest ani trapistą ani dzieckiem, a więc nie może być tym arcydziełem natury i łaski, jakim jest święty.

Zbyt długo panoszący się w hagiografii kierunek, który przedstawiał święte dzieci jak małych dorosłych, sensatów stroniących od towarzystwa rówieśników, „Wunderkindy" zachowujące się jak starzy pustelnicy — wypaczył pojęcia zarówno dorosłych jak i dzieci o tym, czym powinna być świętość dziecka. Święte dziecko, to chłopak czy dziewczynka, która raniutko wymknie się niepostrzeżenie by przyjąć Komunię świętą, choć nie zdąży przed szkołą wrócić do domu na śniadanie i będzie głodna do obiadu; ale gdy ją mama zaprowadzi na ciastka zajada aż mu się uszy trzęsą. To malec w którego kieszeni, przeładowanej wszelkiego rodzaju rupieciem, Różaniec sąsiaduje z procą. — Niejeden dorosły uzna, że nie jest to właściwe miejsce dla różańca, który powinien z należytą czcią być powieszony nad łóżeczkiem. — Ale różaniec wiszący nad łóżeczkiem rzadko kiedy bywa odmawiany, a różaniec trzymany w kieszeni po społu ze wszystkimi „skarbami" świadczy o tem, iż bywa „w robocie" co najmniej równie często jak proca. Czyż święty Grignion de Monfort nie przyrównał Różańca do procy z powodu jego kształtu i celności w „uśmiercaniu zła"? — Święte dziecko, to brzdąc, który energicznym szturchańcem poczęstuje starszego kolegę pastwiącego się nad młodszym, ale nazajutrz może utonie ratując starszego. Święte dziecko to dziewczynka, która znosząc z uśmiechem codziennie ofiarowywaną Bogu mękę przykrych stosunków rodzinnych, matczynych nerwów i ojcowskiego gderania, jednak na wycieczce z koleżankami potrafi biegać i dokazywać jak żadna. Jednym słowem święte jest dziecko, które pełnią swego dziecięctwa współdziała z pełnią łaski. Dziecko które będąc dzieckiem na „całego", wyraża swą całkowitą zgodę w doskonałej pokorze na rolę jaką mu wyznaczył Pan Bóg. Dziecko, które nie wstydzi się przyznać że przepada za bajkami, ale ich wymowę tłumaczy sobie na język swej najwyższej miłości. Dla którego królewicz budzący uśpioną Śnieżkę, to Pan Jezus budzący duszę do miłości. A Janek co na szczyt szklanej góry szedł poprzez niebezpieczeństwa i przeszkody po zbawczy lek dla chorej mamusi — to on sam który dziecięce, niełatwe umartwienia mnoży, chcąc wybłagać dla mamusi, by „była bardziej święta". Święte dziecko to zwłaszcza dziecko, które z całą dojrzałością świętości zdoła ocenić i wykorzystać dogodność swego apostolskiego stanowiska; które wie, iż jego przykład i jedno jego słowo więcej może zdziałać dla sprawy dobrej w duszach kolegów, niżeli wszystkie pouczenia starszych. A jedno jego spojrzenie, naładowane milczącą wymówką, zdoła skuteczniej obudzić otępiałe sumienie dorosłego, niżeli cały nacisk opinii innych dorosłych.

W rozmaity sposób już interpretowano słowa „Jeśli nie staniecie się jako

dziatki nie wnijdziecie do Królestwa Niebieskiego". Nie wiem czy mam słuszność, ale wydaje mi się zawsze, iż chodzi tu o to, że tylko dziecko czyni wszystko co czyni, naprawdę serio. Nikt nie bierze tak wszystkiego poważnie jak dziecko, nikt, z wyjątkiem -- świętego. To my, przeciętni dorośli, bierzemy „na niby", to co powinno być brane na serio. A brane na serio powinno być wszystko w życiu. Natomiast dziecko wciela się całkowicie i bez reszty w tę postać jaką być pragnie. Jest ekstremistą z natury. Gdy bawi się w Indian, uzbraja się we wszystkie rekwizyty swej woli, i czuje się naprawdę Czerwonoskórym. Gdy zapragnie być świętym nie zaniedbuje żadnego z „rekwizytów" świętości i wczuje się w swoją rolę aż do szczytów heroizmu.

— — — — — — — —

Zmęczony nieco pisaniem tego przydługiego listu wziąłem sobie dla odpoczynku Różaniec. Tajemnice radosne... Tyle razy już przemedytowane. Lecz oto nagle w nowym świetle stanęła mi przed oczami tajemnica piąta... Odnalezienie Jezusa w świątyni... Byłem tak zaskoczony tym nieznanym dotąd światłem, iż w pierwszej chwili wydało mi się, że ulegam tylko jakiejś sugestii, wywołanej treścią tego listu. Aż musiałem zajrzeć raz jeszcze do św. Łukasza, by stwierdzić, czy się nie mylę... Ale nie... Wyraźnie przeczytałem: „mniemali, że był w towarzystwie... „a ujrzawszy go zadziwili się" „nie rozumieli co do nich mówił"...

Krysiu, iluż tu rozmyślań potrzeba, iluż to modlitw o łaskę światła, byśmy umieli się przebić przez wszystkie aspekty choćby którejkolwiek z tajemnic Różańcowych, nie mówiąc już o wszystkich tajemnicach Chrystusowych. „Zdziwili się"... Czyżby mogło im się wydać dziwne, iż już w tak młodym wieku porywa się ich dziecko na rzeczy wielkie?... Chyba nie... Bo czyż mogła Niepokalana zapomnieć o tem, iż przecie sama w jednako młodocianym wieku już miała za sobą tak śmiały, tak nowatorski i odkrywczy krok na drodze świętości, jak ślub dziewictwa?... że ongiś mało co starszą będąc od tego dwunastoletniego chłopaczka, już schylała głowę mówiąc „oto służebnica pańska"? Nie to ich więc zapewne zaskoczyło. Święta Teresa ślicznie zauważyła, iż to zdziwienie świadczy o tym, iż żyli z wiary, tak jak i my. Owszem. Sądzę nawet, iż Najświętsza z Matek i Mąż Sprawiedliwy, którzy przewyższają nas we wszystkich cnotach, żyli z wiary niewspółmiernie bardziej jeszcze niż my. Bo chyba łatwiej jest uwierzyć mając pod ręką Ewangelię, a za sobą dwa tysiące lat usianych cudami łaski, niżeli uwierzyć w słowa Archanielskie i w nakaz dany we śnie, by przyjąć „małżonkę swą" brzemienną w Najwyższego... czy uwierzyć że dlatego rozśpiewało się niebo, iż w bydlęcym żłobie spoczęła ludzka kruszyna czy w to, że samego Boga nie można uratować od śmierci inaczej jak ucieczką. Łatwiej czcić Chrystusa Pana w Hostii utajonego, niż czcić Go w Dzieciątku, które się miało na codzień w swoim domu, któremu się prało pieluszki i który wyrastał z sukienek, niżeli w chłopaczku który wracając do domu po dniu spędzonym z rówieśnikami, zaraz od progu pytał (jak pytał w wiele lat później, już po swym Zmartwychwstaniu uczniów w wieczerniku) „Czy macie co do zjedzenia?"

Nie Krysiu, nie to było — jak mi się zdaje przyczyną ich zdziwienia. Bo przecie wiemy, iż już zaraz po przepowiedni Symeona, Maryja zaczęła skrzętnie chować w sercu swoim, wszystko co dotyczyło Jej dziecka. Zresztą zrozumienie faktu, iż dziecko pełne łaski i mądrości pragnęło pouczyć się jak również pouczyć innych, nie wymagało chyba aż takiego aktu wiary, jak wszystkie fakty, które go poprzedziły. Przyczyną ich zdziwienia musiało być to, iż ten postępek, nacechowany, niespodziewaną „dorosłością", nie mieścił się jakoś w ramach obrazu, do którego dwunastoletnia znajomość tego Dziecka Ich przyzwyczaiła. Bo przyzwyczaili się do tego,

że był w całej pełni... dzieckiem. I dlatego w pierwszej chwili nie mogli uchwycić logicznego związku pomiędzy tym postępkiem, a „dziecięctwem doskonałym“, które jak dotąd przejawiał. Bo nie łatwo jest od razu pojąć, że jednaka dojrzałość w doskonałości dyktuje zarówno całkowitą zgodę na treść dziecięctwa, każe wykorzystać tę treść, a nie marnować jej w jałowym czekaniu na dorosłość — jak dyktuje też prostotę w porywaniu się, jeśli zajdzie tego potrzeba, na czyny, zakrojone na miarę najwyższą.

Tak, Krysiu, wydaje mi się, iż Syn Człowieczy, jedyny wzór pełnego Człowieczeństwa, musiał być też jedynym wzorem pełnego dziecięctwa. Nie był samotnikiem, odludkiem stroniącym od rówieśników. Wszak „mniemali“ że był w towarzystwie. Od towarzystwa synów ludzkich nie stronił nigdy, nie stroni i dziś, gdy ze wszystkich tabernakulów świata woła ustawicznie: „pójdzcie do mnie wszyscy!“ Tak samo wołać musiał dziecięcym głosikiem, gdy od samego rana wypadał z rodzicielskiego domu, na spieczoną skwarem uliczkę Nazaretu i zbiegały się do niego wszystkie łobuziaki z całego miasteczka. Bo niemało musiało być łobuziaków w tym Nazarecie z którego pono „nigdy nic dobrego nie wyszło“. I on, który później będzie ucztował z celnikami, z pewnością bawił się „na całego“ w ich gronie. Gdy od nich odchodził, mówili już do Niego — podobnie jak później uczniowie — „dokąd pójdziemy?“. Nie dodawali coprawda jeszcze „Ty masz słowa żywota wiecznego!“ lecz coś, co gdyby to przełożyć na język naszych dzisiejszych, polskich dzieci, brzmiałoby mniej więcej „tylko z Tobą jest tak naprawdę „fajnie“! Może już wówczas, jakiś młodociany łotrzyk podpatrzywszy jak Jezus się modlił, pociągnął go na stronę i poprosił nieśmiało: „Wspomnij o mnie, gdy będziesz gadał z Twym Ojcem, który jest w niebie!“ A On, odpowiedział: „chodź ze mną to razem będziemy z Nim mówili!“ On, który nie zawahał się wziąć w rękę powróz na kupczących w świątyni, czyż mógł wówczas, w dziecięcych swych latach, patrzeć spokojnie jak silny dryblas pastwił się nad młodszym i nie odepchnąć go z całej siły swych dziecięcych piąstek? A gdy który nazareński łobuziak stronił od jego drużyny, nie przychodził na ranne wołanie, „Chodźcie wszyscy“ jakże musiał On dobry Pasterz, krążyć koło niego, starać się go przywabić wynajdywaniem coraz to nowszych i ciekawszych zabaw. Inni towarzysze mówili: „zostaw go, co nam po nim!“ Sam nagabywany odpowiadał opryskliwie: „odczep się ode mnie!“ Lecz my wiemy dobrze jaki musiał być koniec. Zabawa stawała się w końcu tak nieodparcie porywająca iż malkontent sam nie wiedział kiedy już brał w niej udział.

— — — — — — — —

Święte dzieci przeważnie odchodzą od nas gdy osiągną wiek w jakim był Jezus, kiedy na drodze jerozolimskiej odłączył się od rodziców. „Stawszy się w krótkim czasie doskonali przeżyli czasów wiele“ i przybytkiem ich może być już tylko świątynia Ojca w niebiosach. Przez krótki czas tych kilkunastu lat ich doczesnego życia, my dorośli, którzyśmy jeszcze jak oni nie dorośli do pełni doskonałości, szukaliśmy ich prawdziwego oblicza. Wymykało się ono nam wciąż, skrywało się za tym, co nam się wydawało paradoksem: dziecięctwo w dojrzałości i dojrzałość w dziecięctwie. Aż przyszedł postępek, który na tle naszej skąpej o nich wiedzy, przekroczył już całkowicie naszą zdolność pojmowania... a jednocześnie, w chwilę potem, wszystko wyjaśnił, czegośmy dotąd nie rozumieli.

„Stawszy się w krótkim czasie doskonali“. Anetka Guigné, Wituś Fontgalland, mały Henio, kilkuletnia Nelly. I dziewczynka, o której za jej życia nikt nie wiedział nic ponadto, że była świetną uczennicą i uległą córeczką. Aż dopiero śmierć wyjaśniła, że ofiarowała życie za nawrócenie rodziców, a wszystkie dni tego krótkiego życia spędziła w promieniowaniu

Boga. I tamta, młodociany geniusz artystyczny, która z desek teatru, wymową jaką nadawała swej roli nawracała widownię... ale — po najdłużej nawet przeciągających się w noc próbach, nie przespała nigdy szkoły, a zwłaszcza tej najważniejszej wędrówki porannej... po Chrystusa w Komunii św., która w domu pieściła się z kotem-przybłędą i płatała urocze figle — aby następnego dnia upomnieć koleżanki, co śmiały się z bab mamroczących godzinki w kościele: „pamiętajcie iż każdy chwali Pana Boga jak umie!“ Aż przyszedł postępek ostatni... ten, który w pierwszej chwili zamroczył jak uderzenie obuchem, a potem wszystko wyjaśnił... dłoń niestrudzenie wyciągająca z odmętów te, które jeszcze wyciągnąć było można... usta śpiewające modlitewną pieśń, by ratować przed rozpaczą te, które tonęły.

Szukaliśmy ich prawdziwego oblicza dopóki żyli pośród nas. A teraz, gdyśmy już to oblicze dostrzegli w blasku apoteozy, szukamy go nadal. W kartkach pamiętnika pisanego pensjonarską ręką na skrawkach szkolnych zeszytów, we wspomnieniach przyjaciół, nauczycieli, kolegów, czy koleżanek... w zakamarkach własnego serca, które przechowało wszystko, jak serce Maryi, rejestrujące każdy drobiazg.

Lecz trzeba dopiero wejść do świątyni Pańskiej, ująć w dłonie głowę obolałą od niewypłakanych łez, wsłuchać się w ciszę, by doszły nas słowa: „Cóż jest żeście mnie szukali, że mnie szukacie, że mnie nigdy nie przestaniecie szukać. Zali nie wiecie iż w tych sprawach, które wszystkie były tworami Ojca, potrzeba było abym był!

Jan Rybałt.

Dusza wobec Boga

Jesteśmy wszyscy słabi, a jednak po dwakroć powtórzone ostrzeżenie: „Bóg pysznym się sprzeciwia“, odnosi się również i do nas. I nam powinien być przestrogą bunt anioła. O wiele subtelniej występuje miłość własna w duszy, która do Boga jest skierowana. Szatan wie, że nie na drodze próżności odwiedzie duszę od Boga, choć sam po niej chodzi.

Z poruszeń miłości własnej nie trzeba czynić zagadnienia, ale zlekceważyć je i zbyć pobłażaniem. Te poruszenia będą zawsze skutkiem winy pierworodnej. Dla swojej miłości własnej trzeba mieć uśmiech wyrozumiały — mawiał św. Franciszek Salezy. Ale można te poruszenia zamienić na akt pokory w sposób prosty. Pokora i pycha nie różnią się w punkcie wyjścia, ale różnią się w swej drodze. Pokory przedmiotem nie jest nasze zepsucie i skażenie. Zajęcie się naszymi ujemnymi stronami jest ciasnotą lub fałszem. Pokora to jest światło, które daje prawdziwy stosunek duszy do Boga, to blask wiary. Stosunek wzajemny jest przedmiotem poznania. Pokora uświadamia duszy dobro nadprzyrodzone, którego Bóg w niej dokonał i wskazuje jej na cnotę i zasługę, którą łaska w niej kształtuje na to, by z dziękczynieniem odnosić się do Boga.

Ks. A. B.

Czesiek ma własną wolę

— Czesiek, gdzie idziesz?

— Na pole, kolega na mnie czeka.

— Nie pójdziesz!

— Dlaczego?

— Bo nie pójdziesz. Tak mi się podoba i koniec. Powiedz mu przez okno, że nie masz czasu.

— Ależ mamo...

— Słyszałeś? Natychmiast zamykaj drzwi i marsz do roboty. Chcesz dostać po głowie?

Czesiek z ciężkim westchnieniem zamknął drzwi i mrucząc coś pod nosem powlókł się do pokoju.

— Czesiek, co nie wychodzisz?

— Bo mi stara nie dała wyjść — przez okno komunikowali się koledzy.

— To cię trzyma, trzynaście lat ma chłopak i jak niemowlątko. A szkoda. Chciałem z tobą porozmawiać o wypracowaniu z polskiego. Do ciebie boję się przyjść, bo znowu twa stara jakąś ścierką przez głowę by mnie przywaliła. Trudno, cześć!

Czesiek stał w oknie, a łzy pomału zaczęły spadać na zeszyt. Nie spodziewał się jednak, że w tym czasie znalazł obrońcę i to w kim? W pani Jadwidze! Oto w kuchni toczyła się rozmowa:

— To jest smarkacz. Oj pani Jadwigo, jak z tym chłopcem trudno wytrzymać. Od rana przez cały dzień awantura. Spokój w domu tylko wtenczas, jak jest w szkole.

— Mnie się zdaje Basiu, że sama sobie winnaś i to ze szkodą swoich nerwów i ze szkodą rozwoju psychiki, a ściślej mówiąc rozwoju woli twojego dziecka.

— On ma za mało jeszcze woli, ona potrzebuje się u niego rozwijać jeszcze?

— Naturalnie. Podobnie jak ciało, tak i życie władz duszy rozwija się z czasem, tj. rozum i wola. Chłopiec ma swoją wolę, a rodzice powinni ją uszanować, a z drugiej strony nauczyć dziecko nią kierować.

Chłopiec, któremu rodzice nie zostawiają wolnej woli, ale zawsze go krzyczą i naginają czasem siłą do wypełnienia ich woli, staje się z czasem albo krnąbrnym, nieposłusznym, albo niesamodzielnym. Jeśli już teraz twój syn nie będzie umiał kierować swoją wolą, tylko będzie czynił w najmniejszej rzeczy twoją, to jeśli nie będzie ciebie, a znajdzie się wśród zepsutych kolegów, to nie będzie umiał powiedzieć wobec ich namowy do grzechu: „Nie koledzy, ja tego nie uczynię!" — bo nie będzie miał swoich przekonań i swojej woli.

— To wobec tego mam mu pozwalać na wszystko?

— Bynajmniej, chodzi tutaj raczej o taktykę, niż o zasadę. Syn w tym okresie życia, powinien wiedzieć, jak powinien postępować, co wolno, a co nie wolno i d l a c z e g o? Wszelaki rozkaz w postaci nakazów: „Zrób to, bo tak chcę, tak każę, bo mi się tak podoba, jest nieodpowiedni i niepedagogiczny. Jeśli syn pyta się ciebie, dlaczego to lub owo mu nie wolno uczynić, to powinnaś mu to wytłumaczyć spokojnie i rzeczowo, bo on ma prawo wiedzieć, dlaczego rodzice coś mu zabraniają. Potrzeba też i jego zapytać się o zdanie, o powód postępowania.

— To ostro nie powinno się trzymać chłopca?

— Zależy, co rozumiesz przez słowo „ostro“. Owszem, nie jestem za tym, aby chłopcu na wszystko pozwalać. Musi wiedzieć, że nie wszystko, do czego ciągną go zmysły jest dozwolone dla dobra jego duszy, czy nawet ciała. Nie wolno również być chwiejnym w wychowaniu, dzisiaj tak, a jutro inaczej. Wobec dziecka trzeba być stanowczym, bo inaczej wychowałoby się mężczyznę samolubnego, grymaśnego i leniwego. Ale nie znaczy to, abyśmy trzymali dziecko w ciągłym strachu i trwodze. W ten sposób postępując, dziecko staje się nerwowe, pozbawione wewnętrznej równowagi psychicznej. Zresztą jest rzeczą dowiedzioną, że chłopiec trzymany ostro w domu, staje się łobuzem w szkole. Nauczycielstwo nie może sobie z nim poradzić. Żadne słowo w tym wypadku nie pomoże, bo jedynym argumentem dla tego dziecka jest... bicz. A jeśli tak wychowany człowiek poczuje się panem swojej woli to...

— Hulaj dusza — dokończyła Barbara.

— Nie wolno nam zapominać, droga Barbaro, że zadaniem matki, jak i każdego wychowawcy, jest nie tresura, ale wychowanie wolnego człowieka do wolności. Bożena Mirska

WIELKI POST

W Środę Popielcową głowy nasze kapłan posypie popiołem, wymawiając słowa: „Pamiętaj człowiecze, że jesteś prochem i w proch się obrócisz“. Jest to wyraźne wezwanie do pokuty. Pokuta tak, jak ją rozumie Kościół, nie polega na unicestwianiu ludzkiej natury, ale na opanowaniu jej i poddaniu duchowi. Istotnym jej elementem nie są posty, umartwienia cielesne, ale postawa duchowa, wyrażająca się niezłomną wolą wytrwania przy Bogu i Jego Prawie. W lekcji Mszy św. Środy Popielcowej czytamy słowa Joela Proroka: „Rozdzierajcie serca wasze, a nie szaty wasze“, gdyż zewnętrzne oznaki pokuty bez usposobienia wewnętrznego są bez znaczenia. Uczynki pokutne pomagają wszakże do opanowania namiętności i dlatego w życiu naszym mają one sens. W okresie od Środy Popielcowej aż do Wielkiej Soboty Kościół łącząc się z Chrystusem cierpiącym, pragnie, abyśmy dobrowolnie nałożonymi na siebie ograniczeniami, obok tych, które sam na nas nałożył, starali się okazać wdzięczność naszemu Zbawcy za to, że ukochał nas aż do śmierci, a śmierci krzyżowej.

Najlepszym czynem pokutnym będzie poprawa życia. Trzeba według słów Proroka „zmienić na lepsze wszystko to, czym zgrzeszyliśmy w zaślepieniu naszym“. *J. T.*

TREŚĆ NUMERU

„POD OPIEKĄ Św. JÓZEFA“

Miesięcznik dla Rodzin Katolickich.

Za pozwoleniem Władzy Duchownej i Zakonnej. 838/52

Redaguje Kolegium
Adres Redakcji:
Redakcja „Pod Opieką św. Józefa“
Kraków
ul. Bakowicka 18

Konto:
Wydawnictwo Karmelitów Bosych
Kraków
PKO. Kraków Nr IV—842/113

Adres dla spraw prenumeraty:
Państwowe Przedsiębiorstwo Kolportażu
„Ruch“ Oddział w Krakowie
ul. Worcella 6
Konto: Państwowe Przedsiębiorstwo
Kolportażu „Ruch“ Kraków
Dział Prenumeraty Pocztowej
Wydawnictwa Religijne i Naukowe
„Pod Opieką św. Józefa“
PKO. Kraków Nr IV — 1639.

Cena pojedynczego numeru 1.50 zł.

Krakowskie Zakłady Graficzne, Zakład Nr. 7, Kraków, Kazimierza Wielkiego 95.
M-3-10316 - Pap. druk. sat. VII kl. A1/60 g - Zam. 700 - 22. XII. 51. Nakł. 8.000